Na ten ciekawy numer składają się m. in.:

- W ŁOWICZU I GDZIE INDZIEJ
- POTWÓR (d. c.)
- LIST Z TORUNIA
- WIELCE ZABAWNA „IDIOTKA"
- KOLUMNY: FILMOWA I TELEWIZYJNA
- „ODGŁOSY TYGODNIA"
- „MAGDALENA O RANNEJ GODZINIE" (d. c.)

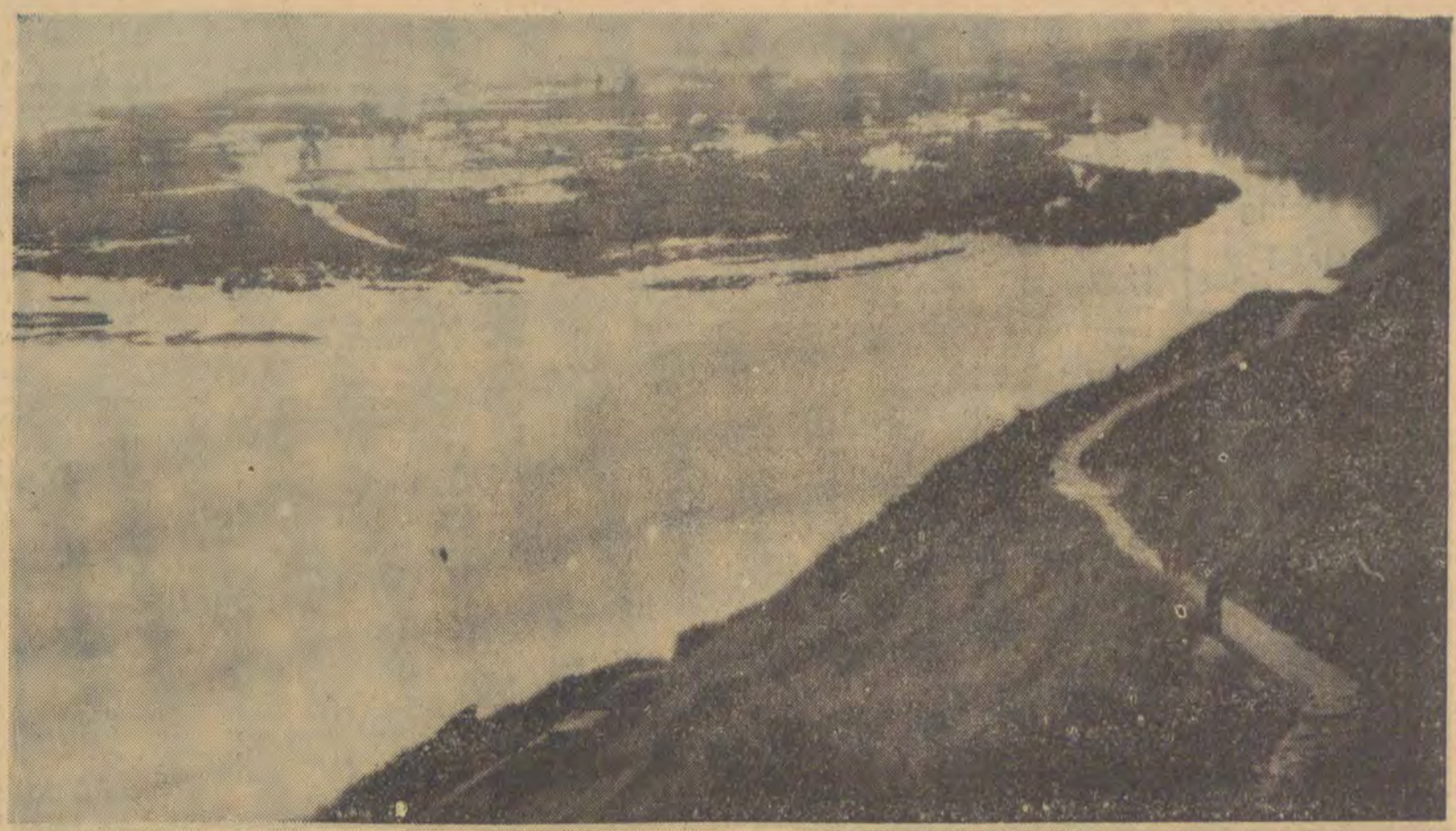

Fot. A. Kondratiuk

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 1.VII. 62 r.

Nr 26 (226) Cena 1 zł

WALDEMAR UCHMAN

TURYSTYCZNA POLSKA B

Nie tylko Bydgoskie i Kieleckie, ale — i chyba głównie — ziemia płocka stanowić może fragment zaplecza wypoczynkowego Łodzi. Trzy względy zdają się przemawiać za tym. Po pierwsze: bliskość — 100—120 km i niezła komunikacja (kilka par pociągów przez Kutno i parę autobusów PKS). Po drugie: Wisła. Po trzecie — urządzenia turystyczne.

Po drodze (o nawierzchni I kl.) via Łowicz, Sanniki, Gąbin — jezioro Zdworskie 3 km szerokości i 5 długości, a nad nim Dom Wycieczkowy PTTK „Koszelówka" z ośrodkiem campingowym (telefon Gąbin 106). Nieco dalej wśród lasów liściastych położony Łąck z jeziorem i restauracją „Rusałka". I wreszcie Płock z fenomenalnym krajobrazem wiślano-mazowieckim.

Tak więc, wbrew wszelkim krakaniom pesymistów, mamy lato. Ale co z tego? Można by co prawda wsadzić pidżamę i ręcznik do chlebaka, załadować rodzinę do pociągu i w sobotę zaraz po pracy wybrać się na „zieloną trawkę" — gdzieś gdzie jest trochę lasu, trochę wody, dużo czystego powietrza i wcale zgiełku ulicznego, który w blisko milionowym mieście w każdym zakątku bardzo daje się we znaki.

Można by! Ale czy można? Odpowiedzi na to pytanie powinna udzielić instytucja o wymownej nazwie Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Ostatecznie po to chyba zatrudnia ono sztab speców od turystyki, i po to je powołano.

TRZY KAJAKI

Pełen optymizmu wkraczasz więc najwniaku do przybytku wiosła i plecaka i... optymizm pryska. Okazuje się, że łódzkie PTTK służy raczej do... gaszenia zapędów turystycznych.

Urzędniczki bezradnie rozkładają ręce.

— My też chcielibyśmy, ale... same co sobotę bezskutecznie studiujemy mapę i niczego nie możemy wypatrzeć, jak więc mamy radzić innym?

— Domki campingowe? Były. Mieliśmy ośrodek campingowy w Teofilowie koło Spały. Może będzie. Na razie nie wiadomo, bo z dotychczasowym administratorem ośrodka PTTK właśnie się procesuje, a ponieważ procesuje się, b. administrator oczywiście nie wydzierżawi w tym roku terenu pod domki, który do niego należy, a znów gdzie indziej brak jest wody do picia, a jeśli brak dobrej wody to Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna nie zgodzi się. Może zlituje się „Marchlewski" i odstąpi kawałek „zaklepanego" już terenu w tej samej miejscowości i trochę swojej dobrej wody. Wtedy ośrodek będzie. A jeśli nie odstąpi, to owe 19 domków poczeka w magazynie na lepsze czasy.

Taką rozmowę toczyliśmy w pierwszą, rzeczywiście letnią sobotę czerwca, kiedy to właściwie powinno się już wydawać pokwitowania tym, którzy wynajęli domki. Ale domku wynająć nie można, można natomiast pobiadać, jakie to nasze województwo upośledzone pod względem turystycznym, jacy to ci łodzianie niechętnie nastawieni do turystyki, bo tylko 9 tysięcy posiada legitymacje PTTK.

Ale właściwie w jakim celu mamy podpisywać deklaracje wstępu do owego szacownego Towarzystwa? Ot, np. w PTTK zrzeszonych jest 6 tysięcy kajakowców. Oczywiście, kajakowiec to ten, kto uwielbia pływanie kajakiem, a jednocześnie raczej nie posiada go, gdyż w mieście bez wody nie opłaca się kupować drogiego sprzętu wodnego. Należą więc do PTTK w nadziei, iż w zamian za opłacane składki organizacja ułatwi im spędzenie urlopu na wodzie. Płonna nadzieja! Tzw. komisja wodna dysponuje 3 — słownie trzema — kajakami dla swych członków. 3 kajaki na 6 tysięcy kajakowiczów! Co prawda jeszcze kilkanaście kajaków zmagazynowano wraz z domkami we wspomnianym wy-

Dalszy ciąg na stronie 5

MIROSŁAW AZEMBSKI

Dwie operacje

o tych co na morzu

3

Od rana błąkaliśmy się leniwie po pokładzie (ci oczywiście, którzy na lenistwo mogli sobie w tej chwili pozwolić) gwarząc na różne mądrzejsze i mniej mądre tematy. I kiedyś tam wreszcie rozmowa zeszła na przedmiot następujący: czy na małym statku handlowym potrzebny jest lekarz? Czy ma dostateczną ilość roboty, czy też opiekę sanitarną potrafi zorganizować świetnie sama załoga? Władze nie mają co do tego określonego zdania, raz przydzielają, innym razem odbierają statkom etaty lekarza okrętowego.

Usłyszałem przy okazji szereg interesujących opowiadań z zakresu medycyny okrętowej, jeśli tak ją można nazwać. Faktem jest, że i na statkach chorują ludzie (aczkolwiek marynarze to chłopy na ogół zdrowe, czasem tylko przejściowo dotknięte złośliwym paluszkiem Wenery), faktem jest dalej, że i na statku zdarzają się wypadki przy pracy — a wtedy co począć, jeśli nie posiada się własnego doktora?

Funkcje eskulapa podejmuje wtedy z urzędu trzeci oficer, który zgodnie z regulaminem powinien przejść przez jakie takie szkolenie sanitarne i być przygotowanym do niesienia pomocy w nagłych wypadkach. Fraszka, gdy chodzi o przypadek drobny, aplikuje się wtedy proszeczki, może nawet zastrzyk i sprawa załatwiona. A w wypadkach naprawdę poważnych? Na pełnym morzu albo w porcie pozbawionym szpitala czy lekarza?

Istnieją specjalne podręczniki chirurgii dla marynarzy — wynalazek oczywiście wojenny, i — oczywiście amerykański. Księga mądrości domorosłych lekarzy zaopatrzona jest w rysunki, tablice anatomiczne, wykresy oraz odpowiednie pouczenia: otwiera się więc podręcznik, kładzie się chorego na stole operacyjnym, obrysowuje schorzały fragment ciała według tablic i tnie nożem od punktu do punktu — zgodnie z objaśnieniami. Słowem: medycyna w wydaniu kieszonkowym.

Dalszy ciąg na str. 6

JANUSZ ROSZKO

ALA ma KOT-a

Artykułem Ewy Ostrowskiej „Komu bije dzwon" zapoczątkowaliśmy dyskusję o sprawach telewizji. W bieżącym numerze publikujemy drugą z kolei wypowiedź na ten temat pióra Janusza Roszki, omawiającą kłopoty ośrodka krakowskiego. W następnych numerach dalsze wypowiedzi. Zapraszamy do dyskusji.

Warszawska Ala ma kota, pisanego dużymi literami. Ala jest warszawska nie dlatego, że niedaleko kolumny Zygmunta pan Falski napisał to najpopularniejsze polskie hasło, a kot pisany jest dużymi literami nie ze względu na swoją ważność. Warszawska Ala ma Krakowski Ośrodek Telewizyjny (KOT) i przedziwne z nim wyczynia swawole. KOT jest bardzo mizerny, wszystkie zabawy Ali go drażnią i ma ich w gruncie rzeczy dość. Ala — aby wyjaśnić jej zagadkowo elementarzową postać — to młoda pani z warszawskiej TV, która decyduje o wszystkich sprawach KOT-a. Postać symboliczna, lub nawet alegoryczna.

Aby zrozumieć wszystkie pretensje KOT-a — muszę przedstawić Wam jego genealogię. Jest niby jednym z sześciu braci, zwanych TOT — czyli Terenowe Ośrodki Telewizyjne — i to takim, na którego rodzice podobno bardzo liczą. Od kilku lat wołają na niego słodko „kici — kici" i robią przeróżne obietnice. Od kilku lat, chociaż de facto TV Kraków istnieje zaledwie rok. A jak się stało — opowiem.

U podstaw jego narodzin tkwi grzech pierworodny. Ktoś, kto planował rozwój telewizji w Polsce — o ile ktoś w ogóle planował — nie przemyślał sprawy do końca. Śląsk — środowisko o ogromnym znaczeniu, zagłębie górnicze i hutnicze — domagał się telewizji. Zdecydowano szybko budowę studia i telestacji, nie zastanawiając się nad tym, że w istocie Katowice nie mają zaplecza artystycznego dla tworzenia programu telewizyjnego. Było rzeczą oczywistą, że takie zaplecze posiada Kraków, który uważano za przyszłego konkurenta Warszawy ze względu na bogactwa jego artystycznych środowisk: teatralnego, plastycznego, muzycznego, dziennikarskiego i literackiego. Albo też inaczej: Kraków będzie najpoważniejszym partnerem Warszawy przy tworzeniu programu ogólnopolskiego. Niestety — telestacja i studio powstały w Katowicach, zamiast — podług rozsądku — studio w Krakowie, a nadajnik w Katowicach. Teraz obserwujemy paradoksalną sytuację, gdyż obsada telewizji katowic-

Dokończenie na str. 2

ALA ma KOT-a

Dalszy ciąg ze str. 1

kiej składa się niemal z samych krakowian kursujących codziennie pociągami tam i z powrotem, zaczynając od redaktora naczelnego TV Katowice (Czesław Berenda) Jego trudy współdzielą kierownik artystyczny (Juliusz Kydryński), reżyser (M. Górkiewicz), wielu aktorów, dziennikarzy etc. W sumie TV Katowice sama nazywa się żartobliwie „Telewizja Krakowice".

Ale działa również KOT w Krakowie. Sił ma to miasto dużo, jak widać na załączonym dowodzie słownym. Kraków walczył o należne mu prawa, o uznanie rangi środowiska nie deklaratywnie, ale poprzez fakty. Na skutek ciągłego krzyku wywalczył wóz transmisyjny, który przyjechał nagle do Krakowa z przeszkoloną świeżo obsługą i — dawaj, miał się zabrać do robienia programu. Dwa pokoje w budynku Polskiego Radia, dwa etaty redakcyjne plus konieczna dla obsługi wozu ilość etatów technicznych. Oto tak wyglądały narodziny KOT-a. Nic dziwnego, że narodzony w takich warunkach KOT musiał być ślepy i łazić po omacku.

Od lat kilku działa w Krakowie Społeczny Komitet Telewizyjny, którego oczkiem w głowie jest budowa nadajnika telewizyjnego pod Krakowem i — rzecz prosta — ośrodka programowego. Robi co może, aby KOT rósł i dorównał innym TOT-om. Zarówno pod względem wyposażenia technicznego, jak i ilości i jakości programu na ogólnopolskiej antenie. Istnieje jednak owa warszawska Ala, która — nie pozwala. Kraków zgłasza propozycje do programu ogólnopolskiego — propozycje interesujące. Warszawska Ala, która jest młodą panią z jakiejkolwiek redakcji warszawskiej telewizji decyduje o tym, czy audycja ta będzie realizowana, czy nie. I decyduje bardzo łatwo: bardzo chętnie przyjmiemy waszą propozycję, tylko czy macie pieniądze na realizację? Niestety, krakowski ośrodek nie ma grosza na realizację i musi na każdą pozycję żebrać u Ali. A Ala pieniędzy nie daje, w ostateczności przyjeżdża sama do Krakowa robić audycję. Aby przypadkiem nie został rozbity monopol. Monopol warszawskiej Ali na robienie programu.

Czy terenowe ośrodki, na których urządzenie wydano mnóstwo pieniędzy mają jakiekolwiek prawa udziału w programie ogólnopolskim, zagwarantowane przez kogokolwiek? Przy planie ramowym programu ogólnopolskiego zapisuje się tylko, że pewna audycja ma iść z ośrodka terenowego. Nie znaczy to, że koniecznie przygotować ją musi sam ośrodek. Wyjeżdża więc z Warszawy ekipa z Alą, aby program zgodnie z zapowiedzią mógł iść z terenowego ośrodka. Ala zdążyła już dawno ugruntować mit, że nikt w terenowych ośrodkach nie potrafi robić programu. Po co więc te wszystkie krzyki i propozycje?

Przygotowuje się plany, które mają ograniczyć emisję terenu — wbrew technicznym i artystycznym możliwościom ośrodków. Na lata 1965—66, przy dwóch programach TV proponuje się, że udział terenu w programie ogólnopolskim ograniczać się będzie do niecałych 20%. Możliwości techniczne ośrodków pozwalają na lekkie i spacerowe wyprodukowanie 50 godzin programu tygodniowo — czyli na 40% programu ogólnopolskiego.

Jaka jest sytuacja biednego KOT-a? Nie ma, niestety, na razie studia. Pracuje w strasznej prowizorce, w pomieszczeniu dawnego studia radiowego o powierzchni 60 m² Ala się cieszy — KOT nie może w tych warunkach być konkurentem dla Warszawy.

Tymczasem Katowice chcą budować sobie nowe studio. Ala protestuje i chce to studio postawić sobie w Warszawie. Kraków patrzy na te pociągnięcia, które pogłębiają jeszcze nonsens pierwotnej koncepcji telewizji śląskiej, z ominięciem podwawelskiego grodu i odsunięciem prężnego środowiska twórczego na dalszych kilka lat w imię utrzymania monopolu Warszawy. Ala być może zgodzi się nawet na budowę studia w Katowicach. Bo Katowice i tak nie mają zaplecza i nie potrafią Ali zagrozić.

Mówi się: masz terenowy ośrodku własnego redaktora naczelnego, masz własną politykę programową. Nawet jeżeli przyjeżdża pani Ala z Warszawy i chce z ośrodka nadać program — to redaktor naczelny może audycję wstrzymać. Ma przecież kompetencje. Ale po pierwsze kształtowanie programu nie zależy od redaktora naczelnego, tylko od Ali. A więc redaktor, aby coś niecoś wywalczyć — musi z Alą żyć dobrze. Nie chce więc zabraniać Ali produkowania chał ze swego ośrodka. Kółko nonsensów się zamyka.

Kraków — w proporcji do swoich możliwości — wnosi do programu ogólnopolskiego prawie nic. Założono bowiem odgórnie koncepcję monopolistyczną, która niestety zobowiązuje. I niewiele pomoże, że Społeczny Komitet dotuje KOT-a etatami dla pracowników, że wchodzi w kontakt z Warszawskimi Zakładami Telewizyjnymi, kupuje od nich kamery i uzyskuje ich patronat nad bazą techniczną ośrodka. Cóż to w gruncie rzeczy pomoże? Łódź ma przecież wspaniale rozwiniętą bazę, kolosalne możliwości programowe — a jednak znajduje się w sytuacji bardzo podobnej. Jej przykład stanowi już podstawę do zapytania: czy baza techniczna ośrodków terenowych jest w pełni wykorzystana?

Oczywiście, Ala może natychmiast ripostować. Że z pozycji prowincjonalnych uderzam w wielki dzwon trwogi, że sugeruję działanie Warszawy na szkodę terenu w podwójnej formie: poprzez częstowanie własnymi chałami i niedopuszczenie audycji terenowych na antenę ogólnopolską. Telewizja warszawska ma władzę, ale nie ma racji. Smutna prowincjonalność pokutuje w programach nadawanych z centralnego studia warszawskiego — bardziej niż w audycjach terenowych.

Ala ma KOT-a. I nie pozwala mu dojść do głosu. Ile propozycji, pochodzących z Krakowa zostało przez poszczególne redakcje odrzuconych, albo darowanych warszawskim dziennikarzom — nie policzę. Mimo że niejednokrotnie propozycje te łączyły się z dobrymi na ogół nazwiskami które coś w skali ogólnopolskiej znaczą.

Przypuszczam jednak, że można kierować pretensje nie tylko do pana Falskiego: dlaczego napisał w elementarzu „Ala ma KOT-a". A tymczasem KOT ma pewne pretensje do Ali. I to właśnie tytułem aneksu do elementarza pojęć telewizyjnych i o telewizji — chciałem dorzucić.

JANUSZ ROSZKO

ALEKSANDER POSTOŁOW

CZY MIASTO NIEZNANE?

„Łódź — miasto nieznane" — tak nazwali ten film realizatorzy. Miasto, które wciąż rośnie, zmienia swój kształt, rozluźnia ciasną zabudowę — takie wrażenie unosi z sobą z seansu widz. Skąd ta dynamika rozwoju, towarzysząca naszemu miastu od czasów Druckiego-Lubeckiego i Rembielińskiego? Jaka historia zastygła w kształtach pałaców fabrykanckich, famuł robotniczych, czynszówek śródmieścia? Jacy są łodzianie? Czy wykształcił się już na przestrzeni ponad 150 lat przeciętny typ łodzianina i jakie tradycje złożyły się na jego „łódzkość?"

Oczywiście na te pytania nie daje, bo nie może dać odpowiedzi, jeden średniometrażowy film. Niełatwo nam przyjdzie znaleźć odpowiedź także w literaturze naukowej czy pięknej. Przyczynków, omawiających fragmenty historii naszego miasta, jest wprawdzie sporo, są one jednak rozsiane po licznych pismach naukowych czy też rocznikach, trudno dostępnych dla szerszych rzesz czytelniczych. Swoją drogą warto pomyśleć o naukowo opracowanej bibliografii przyczynków, rozpraw i dzieł poświęconych Łodzi.

Książek popularyzujących wiedzę o Łodzi, poświęconych jej problematyce i tradycjom, jest na rynku księgarskim niewiele. Literatura piękna również niewiele uwagi poświęciła naszemu miastu. Ubóstwo piśmiennictwa o Łodzi przykro uderza w zestawieniu z jakże bogatą literaturą o Warszawie, Krakowie czy też Poznaniu.

Powstałe przed kilku laty Wydawnictwo Łódzkie interesuje się szczególnie historią i problematyką Łodzi. Popularyzacja wiedzy o naszym mieście, utrwalenie jego postępowych tradycji, kształtowanie właśnie z tych tradycji zrębów „łódzkości" w świadomości słabo jeszcze związanych z miastem napływowych rzesz ludności, to chyba jedno z zasadniczych zadań tej instytucji. Dorobek Wydawnictwa w tej dziedzinie liczy już kilkanaście pozycji. Wypada bodaj sumarycznie ocenić, w jakim stopniu udało się Wydawnictwu usunąć białe plamy na mapie miasta nieznanego".

Zacznijmy od literatury naukowej i popularnonaukowej. Tu jedną z cenniejszych jest monografia Adama Ginsberta pt. „Łódź" Poznajemy w niej oblicze urbanistyczne Łodzi, historię zabudowy miasta, przyczyny niedorozwoju urządzeń komunalnych, jak również próby wyjścia z ciasnego kształtu i perspektywy dalszego rozwoju.

Dzieje naszego miasta doczekały się również szeregu wartościowych publikacji. Wymienię tu choćby opracowane przez Pawła Korca wspomnienia Stanisława Pestkowskiego, jednego z przywódców SDKPiL, pisaną na gorąco relację z nabrzmiałej rewolucyjnymi wydarzeniami Łodzi 1905 roku, czy też „Studia i materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego", zbiorową publikację historyków łódzkich, zawierającą szereg cennych przyczynków do poznania dziejów naszego miasta w okresie międzywojennym lub też „Mniejszość niemiecką w Polsce centralnej w latach 1918—1939", wydaną z inicjatywy Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich monografię Mirosława Cygańskiego, obrazującą życie i organizacje mniejszości niemieckiej w Łodzi międzywojennej. O tradycjach kultury łódzkiej dowiadujemy się z dzieła Wandy Lipiec pt. „Zelwerowicz a scena łódzka", jak również z niektórych rozpraw, zawartych we wspomnianych już „Studiach i materiałach do dziejów Łodzi". Martyrologia naszego miasta w okresie okupacji znalazła swe odbicie we wspomnieniach Stanisława Gaika pt. „Promieniści", w „Pamiętniku nauczyciela" Adama Kowalskiego i „Pamiętniku z getta łódzkiego" Jakuba Poznańskiego.

Jeszcze w roku bieżącym ukażą się nakładem naszego Wydawnictwa dalsze dzieła poświęcone historii i tradycjom Łodzi. Wymienię niektóre z nich: „Strajki łódzkie" — to wspomnienia uczestników strajków międzywojennych, opracowane przez Barbarę Wachowską. Echa dni klęski i dramatycznych wydarzeń 1939 roku niesie z sobą książka Władysława Bortnowskiego „Na tropach łódzkiego września". „Walka o władzę w Łodzi" Władysława Lecha Karwackiego to ciekawy fragment z historii ruchu robotniczego. „Fortuna kołem się toczy" Bronisławy Garncarskiej opowie nam o budowie odnogi kolejowej Koluszki—Łódź—Fabryczna.

Literatura piękna i publicystyka biorą nieco skromniejszy udział w dorobku Wydawnictwa, poświęconym Łodzi. Jedną z najwcześniejszych książek, noszących insygnia WŁ były „Gawędy o dawnej Łodzi" Heleny Duninówny. Jak sam tytuł wskazuje, książka sięga do dawnych dziejów, niemal do schyłku Łodzi rolniczej. „Wieczory nad Łódką" Leona Gomolickiego i „Karuzela" nieżyjącego już Władysława Pawlaka wprowadzają nas w klimat środowiska robotniczego sprzed pierwszej wojny światowej. Leona Gomolickiego najwidoczniej pasjonuje to środowisko. Bohaterem ostatniej powieści, noszącej tytuł „Białe runo", jest także robotnik łódzki. W powojennej literaturze polskiej książka jedyna w swoim rodzaju, „Miłość nie zna zmęczenia" Grzegorza Timofiejewa opowiada o życiu literackim w Łodzi międzywojennej. „Legenda gayerowska" popularnego publicysty Andrzeja Berkowicza — to karta z wczesnych dziejów wielkiego przemysłu łódzkiego. Otwiera ona cykl publikacji, których zadaniem będzie odsłonięcie przed czytelnikiem kulis wielkich fortun. W opracowaniu redakcyjnym znajduje się tom reportaży o Łodzi, plon konkursu ogłoszonego w ubiegłym roku przez „Odgłosy". Książka będzie nosiła tytuł „Ucieczka przedmieścia" i opowie o procesie urbanizacji peryferii łódzkich.

Tak wygląda rejestr książek Wydawnictwa Łódzkiego, poświęconych Łodzi. Czy udało się tej młodej instytucji usunąć bodaj w części białe plamy na mapie „nieznanego miasta?" Nawet przy tak pobieżnym przeglądzie edycji uderza pewna jednostronność rezultatów. Zainteresowania autorów skupiły się głównie na okresie międzywojennym i latach okupacji. I tu jednak dotknięto zaledwie niektórych tematów — przeważnie z historii walk klasowych, pomijając niemal całkowicie tematykę gospodarczą i demograficzną. W dziedzinie kultury ograniczono się głównie do teatraliów. Nawiasem mówiąc, wysiłki Wydawnictwa znalazły zrozumienie u teatrologów. Poza wspomnianym już tomem Wandy Lipiec w przygotowaniu są dalsze prace. A przecież tradycje kultury to nie tylko teatralia.

Próby inspiracji środowiska literackiego tematyką łódzką dały raczej słabe rezultaty.

A już zupełnie głucho o Łodzi współczesnej, i to zarówno w literaturze pięknej, jak i popularno-naukowej. Jaka jest Łódź akademicka? Jak wygląda życie kulturalne naszego miasta i z jakich tradycji czerpie swe soki? Jaka problematyka gospodarcza dominuje w naszym mieście? Jakie typy inteligenta, rzemieślnika i robotnika kształtują się obecnie w Łodzi? Dziesiątki tematów, dotychczas nie podjętych, dziesiątki pytań, na które nie znajdziemy odpowiedzi w książkach, zwłaszcza zaś tych, które są przeznaczone dla szerokiego czytelnika. A bez odpowiedzi na te pytania trudno jest o syntezę „łódzkości", gdyż „łódzkość" ta, klimat miasta i charakter mieszkańców, to współrzędna zasadniczych nurtów dzisiejszej Łodzi.

Rzecz jasna, Wydawnictwo zamierza kontynuować swą pracę, poświęcona popularyzacji wiedzy o Łodzi. Rezultaty zależą nie tylko od Wydawnictwa. Są one także odbiciem aktywności określonych środowisk. Młodzi historycy łódzcy najpełniej wykorzystali szansę, jaką im dano. Dobrze by było, gdyby i inne środowiska poszły za tym przykładem.

BERNARD SZTAJNERT

Listy z niedalekich podróży

Moi drodzy

Nie jestem od Was, którzy to czytacie, mądrzejszy, ani silniejszy, nie zajmuję wysokiego stanowiska. Na listach tych nie dorobię się majątku, ani nie wywrę dzięki nim na nikogo doraźnych wpływów. Piszę listy dla próby i Wy je, jeśli łaska, dla próby czytajcie — jest to próba tak mała, że anonimowa, chociaż każdy list podpisuję imieniem i nazwiskiem. Anonimową jest sama istota próby — jej cel — to dlaczego piszę i to dlaczego wy czytacie, zrozumiemy zapewne, ale dopiero po napisaniu, a nawet po przeczytaniu... Zbyt wiele nas dzieli, abyśmy mogli się porozumieć natychmiast i zbyt wiele nas łączy, aby w ogóle z porozumienia zrezygnować. Przestrzeń jest tylko jedną z form podziału — łatwą zwykle do przebycia, wiem o tym, bo wiele razy przybywałem pociągiem do Łodzi mieszkających poza Łodzią — stawałem tuż przy nich — mimo to byliśmy podzieleni... Słyszałem fragmenty rozmów o mnie, prowadzonych po moim przybyciu, wtedy kiedy sądzono, że jeszcze jestem w drodze. — „Ciekawe" mówiono w Kutnie, — „ciekawe, że każdy kto przyjeżdża z Województwa (z Łodzi) jest mądry, jest mądrzejszy od nas. I on też będzie się dziwił naszej głupocie. Tak jest zawsze — powiat mądrzejszy od gromady, województwo od powiatu, stolica od województwa" — tak mówili nauczyciele w Kutnie przed naradą, na której miałem wygłosić odczyt — wojewódzki odczyt. Mówić miałem o psychice ucznia, o trudnościach związanych z doborem zawodu dla absolwentów szkół podstawowych. — „Moi drodzy" — zacząłem i natychmiast zrozumiałem błąd tych słów. Na sali odczuto moje słowa, jako próbę sygnalizowania dystansu — wojewódzkiego dystansu. — „Taki prelegent jeszcze młody, a już mówca można powiedzieć, mówca znakomity..." — powiedziano mi w czasie dyskusji. Czułem się skrępowany — ubrany w jakiś ciasny mundur izolujący mnie od słuchaczy chciałem zerwać to z siebie, myśleć i mówić myśleniem tych wszystkich pochylonych, odrębnych głów. Popadałem w manierę niedobrego aktorstwa — chodziłem pomiędzy siedzącymi nauczycielami, podnosiłem ręce, krzyczałem o potrzebie wspólnego myślenia. Nauczyciele niżej schylali głowy, zawstydzeni moją porażką. Opowiedzieli mi o uczniu strojącym w klasie miny — wywoływany do odpowiedzi wstawał i wykrzywiał twarz, a obecni w klasie uczniowie tłumili śmiech z kolegi i pytającego nauczyciela. — „On to robi z lęku, z lęku, bo biją go bardzo w domu. Ojciec każe mu się kłaść do bicia i uderza systematycznie w pośladki i w plecy — natomiast matka bije doryweczo — w twarz i gdzie popadnie".

Wyobraziłem sobie chłopca, który stroił miny, by pokazać, że nikogo się nie boi, że szydzi z nauczyciela, że jest pomimo bicia junakiem. Nauczyciele mówili sporo o rodzicach trudnych dzieci — opowiadali o ojcach, uczciwych robotnikach za dnia, popijających po południu i wieczorem zmieniających się w porykujące zwierzęta, dzieci uciekały z mieszkań i błądziły przez całe noce wokół własnych domów. — „Lekarze szkolni stwierdzają, że dzieci z takich rodzin mają przerośnięte serca".

Odpowiadałem dyskutantom — wskazywałem ciągle na potrzebę wpływu szkoły na rodzinę, mówiłem o rozmowach z rodzicami, o pogadankach dla rodziców, o odczytach dla rodziców, o kursach dla rodziców, o wyświetlaniu w szkole dydaktycznych filmów. Ciągle miotałem się w ciasnym mundurze człowieka z województwa — nauczyciele po chwilowym rozdrażnieniu spoglądali na mnie ze współczuciem — byłem prelegentem, któremu nie udała się prelekcja, ale ciągle wyłącznie prelegentem z województwa, „mądrzejszym", którego mądrość jednorazowo, doraźnie, zawiodła.

Siedząc już w pociągu zdawałem sobie sprawę, że nie oddalam się od tych ludzi — tak jak poprzednio, jadąc do Kutna wcale się do nich nie zbliżałem. Wracałem zły, myślałem, że to ich wina, to oni mówili, że jestem mądrzejszy, zanim mnie zobaczyli, zanim usłyszeli moje pierwsze słowo — a może niepotrzebnie zacząłem odczyt od słów „Moi drodzy", przecież ich jeszcze nie znałem, nie mogłem jeszcze ich polubić, czy też poczuć do nich antypatii — nie mogłem? — mogłem ich przecież polubić takich, jakich ich sobie wyobrażałem, jak myślicie, **Moi Drodzy?**

NOWY FILM KARABASZA

Twórczość filmowa Kazimierza Karabasza, autora „Muzykantów", należy niewątpliwie do najciekawszych zjawisk artystycznych na tzw. horyzoncie polskiego filmu dokumentalnego. Jego refleksyjno - obserwacyjna metoda twórcza nie jest na pewno jedyną w polskiej twórczości dokumentalnej, ale chyba najciekawszą w wynikach jakie przynosi. Po wspomnianych już znakomitych „Muzykantach", „Ludziach w drodze" i może zbyt przeszarżowanym w stosowaniu tej metody „Węźle", Kazimierz Karabasz zrealizował swój nowy film — „PIERWSZY KROK". Tym razem po temat sięgnął do środowiska dzieci — uczniów jednej z podstawowych szkół muzycznych. W swoim nowym filmie dał studium pierwszych dziecięcych odczuć i obserwacji dzieci podczas zajęć szkolnych w zakresie trudnych przedmiotów muzycznych — rytmiki, solfeżu, gry na instrumentach itd. Reżyser przekazał swoje obserwacje, reakcje dzieci w licznych zbliżeniach, portretach, detalach. Karabasz nie posługuje się komentarzem, który w tym przypadku byłby jedynie natrętnym dodatkiem uniemożliwiającym właściwy odbiór obrazu i i dźwięku. Jak zawsze zdjęcia Staśkiewicza cechuje świetna plastycznie kompozycja kadru, ciekawe operowanie światłem szczególnie w znakomitych portretach młodych bohaterów filmu, który absorbuje widza i zajmuje owym znakomitym i jakże taktownie zrobionym podpatrywaniem ludzi. Warto obejrzeć kolejny, udany film Karabasza.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

MIESZANKA FILMOWA

Nadja Tiller w nowym filmie Duviviera „Płonący pokój"

Natalie Wood podczas ostatniego festiwalu w Cannes

MARIA KORNATOWSKA

O SZKOŁĘ pod znakiem Zorro

Istnieje w Polsce grupka zapaleńców, którzy z godnym podziwu uporem próbują przekonać odpowiednie czynniki o konieczności wprowadzenia elementów wiedzy o filmie do programu szkół średnich. O wartościach dydaktycznych i wychowawczych filmu, o jego znaczeniu jako pomocy naukowej pisano już wielokrotnie. Temat ten wyczerpująco omówiła na łamach „Odgłosów" Ewa Nurczyńska. Osobiście chciałabym zająć się niektórymi ogólniejszymi aspektami całej tej sprawy.

Podstawowym chyba zadaniem szkoły jest przygotowanie człowieka do życia we współczesnym świecie, do czerpania z dóbr kulturalnych tego świata. Czy nasza szkoła zadania te spełnia? Zastanówmy się nad tym.

Wynalazki filmu, radia i telewizji dokonały radykalnego przewrotu w ustabilizowanej już od wieków (wynalazek druku) kulturze naszej planety. Głównym środkiem odziaływania i rozpowszechniania, główną wartość tej kultury i jej istotę stanowiło słowo, jako umowny znak rzeczywistości. Na początku i na końcu było słowo. Dziś jesteśmy świadkami narodzin nowego stanu rzeczy. Techniki audio-wizualne coraz silniej wypierają słowo drukowane z jego pozycji. W chwili obecnej film i telewizja są najpotężniejszymi środkami rozpowszechniania informacji. Nawet jeśli chodzi o informację typu aktualnego i doraźnego prasa ustępuje powoli miejsca dziennikom filmowym i telewizyjnym. W coraz większej mierze film i telewizja przejmują funkcję rozpowszechniania a także i tworzenia wartości kulturalnych dla szerokich mas. Coraz więcej ludzi przedkłada teatr telewizyjny nad prawdziwy, a film nad teatr i literaturę razem wzięte.

Co więcej, filmy określają kierunek zainteresowań literackich. Nieprzypadkowo uczestnicy ankiety ogłoszonej przez tygodnik „Dookoła świata" wybrali jako ulubionego bohatera literackiego w jednym roku Zbyszka z Bogdańca, a w drugim księcia Andrzeja z „Wojny i pokoju". Dwa największe filmowe przeboje wywarły wyraźny i decydujący wpływ na ten wybór z literackiego punktu widzenia absolutnie niezrozumiały. A więc o upodobaniach literackich zaczyna wyrokować film, a nie sama literatura. Nieprzypadkowo rozchwytywane są książki, których adaptacje filmowe uzyskały aplauz publiczności („Na wschód od Edenu", „W 80 dni dookoła świata", „Popiół i diament"). Film rzutuje w tej chwili na zainteresowania i poszukiwania intelektualne swych odbiorców (znaczne zainteresowanie „Buntem" Pugaczowa, po filmie „Burza nad stepem", nie mówiąc już o narodowej dyskusji na temat „Krzyżaków").

Pisaliśmy już wielokrotnie, że film kształtuje mentalność współczesnego człowieka, określa sferę jego zainteresowań, jego poglądy, obyczaje, wygląd zewnętrzny i tak dalej. Film, a zwłaszcza telewizja wyznacza też w coraz większym stopniu zakres wiedzy o świecie współczesnego człowieka, a więc jego poziom intelektualny. Film przejął od literatury funkcję tworzenia i rozpowszechniania mitów społecznych i moralnych. Czy ogromna popularność różnego rodzaju magazynów ilustrowanych, komiksów, fotopowieści nie świadczy również o wypieraniu piśmiennictwa z jego uprzywilejowanej do niedawna pozycji?

Narodziny nowej, imagnistycznej obrazkowej kultury pociągnęły za sobą cały szereg następstw zarówno dodatnich jak i ujemnych. Problem ten wykracza jednak poza ramy niniejszego artykułu. Niemniej fakt pozostaje faktem. Można ubolewać nad pewnymi przykrymi stronami nowej kultury, ale nie wolno jej ignorować, nie wolno zapominać, że ona istnieje i że człowiek współczesny żyje i rozwija się w kręgu tej właśnie kultury, w świecie opanowanym przez potężną magię obrazu i technik audio-wizualnych. Wróćmy zatem do szkoły.

Nasz i nie tylko nasz system szkolny (jak dowodzą tego liczne dyskusje toczone w różnych krajach np. we Włoszech) pozostał o dobre 50 lat w tyle za dokonującymi się przemianami, zwłaszcza jeśli chodzi o dyscypliny humanistyczne w najszerszym tego słowa znaczeniu. Szkoła zupełnie nie uwzględnia rewolucyjnych zmian jakie zaszły w literaturze i sztuce ostatnich dziesięcioleci, tkwiąc nadal w XIX-wiecznym systemie pojęć i wartości, w XIX-wiecznych kategoriach myślenia, w kręgu kurczącej się dziś coraz bardziej kultury werbalnej, kultury czystego słowa. Szkoła obciąża głowę ucznia balastem wiadomości, które po opuszczeniu jej murów niczemu nie służą. Natomiast zostawia go absolutnie nie przygotowanym do odbioru nowej literatury i sztuki. Nie chcę bynajmniej negować wagi nauczania historii literatury ojczystej, ale wydaje mi się, że główny nacisk musi być położony na przygotowanie młodego człowieka do odbioru sztuki dnia dzisiejszego. W przeciwnym razie pogłębiać się będzie konflikt między odbiorcą a sztuką współczesną z jednej strony, a młodzieżą i tak zwanymi autorytetami szkolnymi z drugiej. Niestety, nasza szkoła w dalszym ciągu kształtuje gusty młodzieży na modłę XIX-wieczną, wpajając jej mocno już przebrzmiałą hierarchizację narodowych wielkości w literaturze, teatrze i malarstwie. Trudno przecenić szkodliwość tego stanu rzeczy. Stawia on w wątpliwym świetle przydatność całego systemu humanistyki szkolnej.

Nie uwzględniając czy też uwzględniając w minimalnym stopniu problemy współczesnej literatury i sztuki szkoła całkowicie i z zasady ignoruje film. Opuszczając mury szkolne maturzysta ma obowiązek wiedzieć mnóstwo rzeczy na temat Kazań Gnieźnieńskich i Świętokrzyskich tudzież „Rozmowy mistrza Polikarpa ze śmiercią" natomiast ma pełne prawo nie mieć zielonego pojęcia o tym kto to są Eisenstein, Clair, Chaplin, Kurosawa.

Przez jedenaście długich lat uczymy młodzież czytania książek, a przecież film jest językiem, którego pełne rozumienie wymaga również znajomości pewnych elementarnych choćby zasad. A któż ma wpajać przeciętnemu widzowi te zasady? Zresztą czy nie warto sobie wreszcie otwarcie powiedzieć, że wychowujemy obecnie nie tyle odbiorców literatury, ile właśnie filmu i telewizji. Brak jakichkolwiek elementów wiedzy o filmie w szkole to jeszcze jeden dowód nieprzystosowania szkolnictwa do rytmu i ducha dzisiejszych czasów. Szkoła wypuszcza człowieka absolutnie nie przygotowanego do pełnego odczytania, do głębszego zrozumienia i oceny sztuki, będącej najpotężniejszą i najbardziej masową sztuką naszej epoki. Szkoła wypuszcza człowieka bezbronnego wobec całego szeregu problemów jakie implikuje film, zdanego jedynie na żywioł i intuicję.

Czyż można w takich okolicznościach mówić poważnie o podniesieniu i kształtowaniu kultury filmowej, o podnoszeniu poziomu artystycznego produkcji filmowej? Kto ponosi odpowiedzialność za to, że ob. X czy Y nie rozumie „La strady" i gwiżdże na filmach Kurosawy?

ALINA GRABOWSKA

Ciechocińskie słońce nad... „Klubem Kawalerów"

Jeżeli w końcu grudnia br. pójdziecie, Czytelnicy, do kina na pierwszy polski barwny, panoramiczny „musical" sfilmowany na podstawie „Klubu Kawalerów" Michała Bałuckiego — to zobaczycie tam następującą scenę: ulicą pędzi dorożka. W dali migają białe wille, zielone drzewa, pięknie przystrzyżone gazony i trawniki, wśród których przechadzają się damy w długich sukniach i wielkich kapeluszach oraz eleganccy panowie z nieodzownymi laseczkami. Fiakier pędzi „co koń wyskoczy" zaś Irena Kwiatkowska usiłuje w ostatniej chwili poinstruować Polę Raksę: — Władysława nie zabijaj! Mam dla niego partię!!

Ta scena potrwa bardzo krótciutko. Oglądając ją w kinie nie będziecie nawet wiedzieli, że cały dzień — od szóstej rano — czuwała kilkudziesięcioosobowa ekipa, ucharakteryzowani aktorzy, ubrani statyści, że bez przerwy huczał agregat, dorożkarz siedział na koźle, garderobiana poprawiała kapelusze, eleganckie damy marzły w powiewnych sukniach, elektryky stali przy ogromnych reflektorach. Dopiero około czwartej po południu, dosłownie w ostatnim momencie przed odjazdem aktorów — ukazał się promyczek słońca i można było scenę nakręcić.

W związku z tym Irena Kwiatkowska opowiedziała, że w Warszawie bez przerwy spogląda w niebo i woła: — Już, już! Można!

— Co takiego? — dziwi się rozmówca.

— A, nie. Już za późno...

Blisko dwa tygodnie trwał ciechociński plener „Klubu Kawalerów".

Wszystkie sercowe perypetie bohaterów rozgrywają się na tle malowniczych uliczek starego Krakowa oraz soczystej zieleni Ciechocinka (dekoracje i kostiumy T. Roszkowska, J. Groszang, M. Iwaszkiewicz) z udziałem baletu Opery Warszawskiej koreowanego przez Witolda Grucę, według scenariusza napisanego przez Z. Starskiego i pod muzykę Marka Sarta, przypuszczać trzeba, że kilka z tych melodii stanie się prawdziwymi bestsellerami muzycznymi, kiedy film wejdzie już na ekrany — podobnie zresztą „bestsellerowo" zapowiada się obsada: Irena Kwiatkowska, Lidia Korsakówna, Pola Raksa, Wacław Brusikiewicz, Bronisław Pawlik, Andrzej May, Wacław Kowalski, Andrzej Kobuszewski i inni.

Panowie mają przygotowane garnitury o wydłużonych połach, zapinane na 3—4 guziki, meloniki i laseczki. Przepiękne kolory, harmonijnie dobrane. Sceny w Krakowie posiadają gamę kolorystyczną niebiesko—fioletową zaś w Ciechocinku różowo—żółtą.

Otóż właśnie sprawa KOLORU stała się punktem wyjścia do ciekawej rozmowy z autorem zdjęć do „Klubu" KAZIMIERZEM KONRADEM.

— Jaka koncepcję operatorską przyjął Pan przystępując do pracy nad filmem, w którym kolor, walory plastyczne odgrywają przecież niemal decydującą rolę? O ile ta koncepcja różni się od przyjętej w Pańskim poprzednim filmie, w „Historii Żółtej Ciżemki"?

Względy dewizowe decydują, niestety o tym, że pracować musimy na taśmie Agfa—Color. Jest to system przestarzały, uniemożliwiający właściwe wykonanie tzw. wtórnych materiałów wyjściowych i traci na tym niewątpliwie polska kinematografia. Po prostu kopia gubi walory barwne, ostrość wypacza się kompozycja kolorystyczna. Trzeba więc było dostosować koncepcję plastyczną do wymagań taśmy — stąd tło utrzymane w szarzyznach, a barwna plama uzyskana będzie przy pomocy kostiumu. Oczywiście, koncepcja zdjęć do „Klubu" różni się zasadniczo od koncepcji stosowanej w „Ciżemce". Samo oświetlenie w „Ciżemce" jest bezcieniowe, płaskie, przypominające malarstwo gotyckie. Malarstwo to nie odróżniało np. nocy od dnia — oznaczano to tylko kolorem, ciemnym niebem. Tutaj — stosujemy już światłocień, barwy są mieszane z jasnymi i ciemnymi cieniami, a całość nawiązuje jak gdyby do malarstwa Duffy'ego.

W ogóle — o ile w filmie czarno-białym obowiązuje dramaturgia świateł, o tyle w barwnym — koloru. Rzecz prosta, dramaturgia podporządkowana treści sceny.

— Początek XX wieku — to secesja w stylu plastycznym. Jak jest pański osobisty stosunek do tego, tak wykpionego i „skompromitowanego" stylu?

— Dlaczego skompromitowanego? Mnie się zdaje, że tak naprawdę wszyscy właściwie lubimy secesję... Rzecz prosta, chodziłoby o to, aby secesję ujrzeć poprzez pryzmat lat 60-tych naszego wieku, bo przecież „Klub Kawalerów" realizujemy współcześnie, dla współczesnego widza. Obawiam się jednak, że wszelkie próby zamknięcia sprawy koncepcji plastycznej w słowach — muszą jakoś trywializować zagadnienie. Tym bardziej, że zawsze grozi, iż koncepcja taka w zetknięciu z rzeczywistością może się stać niewypałem, może zatracić rumieńce...

Kończymy więc rozmowę — tym bardziej, że któryś z przyglądających się niebu członków ekipy woła:

— „Już, już można! Słońce świeci!"

SCENA Z FILMU „KLUB KAWALERÓW"

List z Torunia

Festiwal, jako orka

Dwadzieścia jeden spektakli w przeciągu trzynastu dni, nie licząc przeróżnych imprez towarzyszących, jak odczytów, przedstawień Teatrów Propozycji, wernisaży spotkań przy lampce wina i wypraw do podtoruńskich miejscowości — oto porcja wrażeń, którą zaoferowali swoim gościom organizatorzy IV Festiwalu Teatrów Polski Północnej.

Porcja obfita, a że burza z piorunami wciąż wisi nad pięknym Toruniem i za nic nie chce się odbyć, że przedstawienia są w swojej masie nie najciekawsze, częściej tylko poprawne, a nie — powiedzmy — frapujące, więc też liczni dziennikarze i oficjele krążą po mieście serdecznie umęczeni i czekają albo na wielkie wydarzenie artystyczne, albo na deszcz, albo przynajmniej na koniec imprezy.

Daję słowo, taki Festiwal jest ciężką pracą fizyczną na kształt orki i choć niewątpliwie przynosi obserwatorom wiele pożytku, to jednak bardzo męczy.

Użaliłem się i mogę już spokojnie przystąpić do rzeczy. W chwili, gdy piszę te słowa, czekają nas jeszcze cztery ostatnie spektakle: „Frank V" Dürrenmatta nazwany przez autora „operą banku prywatnego", „Damy i huzary" Fredry w reżyserii **Józefa Grudy** — sądząc po gablotach ze zdjęciami, niebanalne — „Drewniana miska" Edmunda Morrisa i wreszcie „Kordian" reżyserowany przez naszego dobrego znajomego z Łodzi — **Ryszarda Sobolewskiego**. Gdy jednak Czytelnik otrzyma

rzecz do ręki, będzie już po wszystkim i będziemy nawet wiedzieli, kto otrzymał liczne festiwalowe nagrody — w tej chwili trudno wszelako prorokować; kandydatów jest wielu, ale pewniaków, jak w roku ubiegłym, ani na lekarstwo.

Zaryzykuję jednak, jako że — co wyżej wspomniałem — rzecz ukaże się w druku już po zamknięciu Festiwalu i o żadnym wpływaniu na swobodny osąd jury (w składzie: dyr. **Jerzy Jasieński, Maria Czanerle, Zygmunt Greń i Stanisław Hebanowski**) nie może być oczywiście mowy.

A więc mówi się na festiwalowej „giełdzie" o czystym, klarownym, dopracowanym w szczegółach i nader widowiskowym spektaklu „Świętej Joanny" G. B. Shawa, którą pokazał Teatr im. W. Horzycy w Toruniu, w reżyserii **Józefa Grudy**. Rola tytułowa **Barbary Nikielskiej** zupełnie nie przypadła mi wprawdzie do smaku, ale poziom aktorski całego przedstawienia, nawet epizodów, był naprawdę rzetelny.

Zgrabnym, jak to się mówi „bez pudła" zrobionym przedstawieniem było koszalińskie „Niecierpliwe serce" Johna Patricka — reżyserowała je **Teresa Żukowska**. Zupełnie nie udał się natomiast inny spektakl tego samego teatru — „Igraszki z diabłem" Drdy, które w zamyśle reżyserskim **Józefa Grudy** miały być jakąś, najzupełniej zresztą świadomą, polemiką z wersją schillerowską. Były więc to „Igraszki" trochę na „współczesno", Pokusa I prezentowała łagodny strip-tease, Pokusa II udawała plażowego kociaka, Pokusa III — dla rozmaitości — przypominała potworną grubą karlicę z prowincjonalnego cyrku, a aniołki wystąpiły w zgrabnych piżamkach ze spodenkami do pół łydek. Diabeł Lucjusz był diabłem niejako na „klasyczno", ale już radca piekielny Solfernus prezentował się w garniturku, a radca piekielny Belial obsadzony został kobietą w kostiumie sufrażystki. Marcin

Kabat miał sweter pod szyję i maciejówkę, anioł Teofil był kobietą grającą zupełnie od rzeczy homoseksualistę i tak dalej i tak dalej — zupełna kasza kostiumowa, która zaciążyła na całym spektaklu, odebrała mu i wdzięk i nieodzowną jednak w teatrze logikę.

Nie stawiałbym tedy na „Igraszki" i cieszę się prywatnie, że Teatr im. Jaracza woli jednak wznowić stary spektakl, niż próbować przewrócić się na nowej inscenizacji.

Cóż by tu jeszcze? Toruń pokazał dobry i dobrze grany spektakl „Skandalu w Hellbergu" Jerzego Broszkiewicza w reżyserii **Hugona Morycińskiego**. Sztuka, satyrycznie i celnie, mówi o współczesnych Niemczech zachodnich, ma walor polityczny, a zarazem nie byle jaki walor teatralny — odniosła już zresztą sukces w kilku miastach i niewątpliwie również na deskach łódzkiego Teatru Nowego ma szanse stać się jakimś wydarzeniem.

Opuściłem parę pierwszych przedstawień Festiwalu, mogę więc co najwyżej w ogromnym skrócie przekazać zasłyszane opinie. Pokazana przez Teatr im. Jaracza z Olsztyna „Barbara Radziwiłłówna" Felińskiego zupełnie zawiodła — spektakl był nudny, a melodramat aż buchał ze sceny. Lepsze było już „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca" przywiezione przez ten sam teatr — bardzo wiele pochwał zebrał za rolę tytułową **Henryk Abbe**, którego pamiętają zapewne czytelnicy z desek Teatru Powszechnego.

„Prometeusz w okowach" Ajschylosa w reżyserii **Stanisława Bugajskiego** i bardzo pięknej scenografii prof. **Jana Kosińskiego** wypadł ponoć trochę oratoryjnie, spotkał się z licznymi sprzeciwami, niemniej sam fakt jego wystawienia był dużym wydarzeniem ze względu na polską prapremierę w przekładzie prof. **Stefana Srebrnego**.

„Prometeusza", podobnie jak zupełnie dobrze zrobiony „Portret" Jana Pawła Gawlika pokazał teatr bydgoski. Jeżeli dodamy do tego starą sztukę Aleksandra Dumasa „Geniusz i szaleństwo" w adaptacji Sartre'a a — jak zwykle — w bardzo starannej, wycyzelowanej w szczegółach reżyserii **Jana Maciejowskiego**, byłoby to grubsza wszystko, co w pośpiesznie skleconej korespondencji chciałbym przekazać czytelnikom.

Bo o tym, że Festiwal jest impreza bardzo pożyteczną i zawsze ciekawą, choć może w mniejszym stopniu niż w latach ubiegłych, nie wypada po prostu pisać po raz nie wiedzieć który.

JERZY PANASEWICZ

Andrzej Ostoja

Potwór

Dalszy ciąg z poprzedniego numeru

Tejże nocy do Komendy Dzielnicowej MO Łódź-Bałuty zgłosili się małżonkowie S. i natychmiast zostali przywiezieni do szpitala w celu ewentualnego rozpoznania dziecka. Małżonkowie S. stwierdzili, że znaleziona w lesie dziewczynka jest ich córeczką, Danusią.

Po wyjściu z sali szpitalnej Tadeusz S. powiedział: „Danusia jest nieprzytomna i cała czarna na buzi. Trudno ją było poznać, poznałem ją właściwie po ząbkach..."

Mężczyzną wstrząsnęło łkanie.

* * *

Również tejże nocy został przesłuchany Jan Federowicz, który nie przyznał się do niczego. Opisał, jak to 30 sierpnia zaraz po pracy począł pić wódkę razem ze swym majstrem Józefem W. A pili nielicho. Jak wynikało z zeznań „pękło" pięć półlitrówek. „My jak zaczniemy pić, to już do nieprzytomności" — oświadczył dumnie. Dalszą pijatykę chciał właśnie urządzić w mieszkaniu swego znajomego Tadeusza S. ale go nie zastał w domu. Danusi zaraz po wyjściu z podwórka dał pieniądze na czekoladkę, ale dziecko gdzieś mu przepadło. Wobec tego pożegnał się z Józefem W. i, rezygnując z dalszego picia, każdy udał się do swego domu. Na drugi dzień normalnie pracował, cały wieczór i noc był w domu, smacznie spał. Znalezienie Danusi w takim stanie jest dla niego przykrym zaskoczeniem.

— Sam mam dwoje dzieci w wieku Danusi — oświadczył przesłuchującemu go porucznikowi. — No niech pan sam powie, czy ja mógłbym tak spokojnie spać, gdybym zrobił taką krzywdę niewinnemu dziecku?

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i do gabinetu weszło kilku oficerów MO.

— Rewizja skończona. Oto co znaleźliśmy — powiedział jeden z nich.

Uśmiech znikł z twarzy Federowicza.

— Co to jest? — zapytał Federowicz.

Oficer powoli wykładał na biurko poszczególne przedmioty: zakrwawiona marynarka i spodnie. Teczka z plastyku, a w niej nóż oraz kawałek sznurka.

— Pan pyta co to jest? — powiedział porucznik. — Czyżby nie poznawał pan swojego ubrania?

Federowicz zdążył się opanować.

— Ach tak, rzeczywiście, to moje rzeczy — oświadczył.

— A skąd na ubraniu tyle śladów krwi?

— To jest moja krew. Miałem krwotok z nosa.

— Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że to się da sprawdzić?

— Proszę bardzo. Sprawdzajcie. To jest moja krew.

Następnego dnia Federowicz został przesłuchany przez prokuratora. W dalszym ciągu do niczego się nie przyznawał, a nawet odwołał swoje poprzednie zeznanie o wyprowadzeniu Danusi z podwórka. „Danusi nie znałem" — powiedział. „Gdy szukałem Tadzika nikogo na podwórku nie pytałem o Danusię. Z Danusią z podwórka nie wychodziłem. Teraz wszystko pamiętam dokładnie. Jestem pewien, że tylko raz jeden wchodziłem na podwórko".

Prokurator przedstawiła Federowiczowi zarzut o usiłowanie zabójstwa Danusi S. i zastosowała areszt w stosunku do niego.

— Aresztuje pani niewinnego człowieka — powiedział ze smutkiem. — To się niedługo okaże. Ze sprawą tą nie mam nic wspólnego.

Tego dnia, to jest 2 września 1961 roku porucznik Tadeusz K. z Wydziału Dochodzeniowego Komendy MO m. Łodzi sporządził następującą notatkę: „Usiłowałem pobrać treść spod paznokci Jana Federowicza, aby przekazać do badań sądowo-lekarskich. Treści tej nie pobrałem ponieważ Federowicz posiada paznokcie przycięte tuż przy skórze. Następnie zacząłem rozmawiać z podejrzanym wykazując, że człowiek, który dopuścił się tak haniebnego czynu na nieletnim dziecku popełnił straszny czyn nie tylko z punktu widzenia prawnego, ale czysto ludzkiego. W trakcie rozmowy podejrzany Federowicz zaczął płakać i powiedział: „Po co mi to było, zarabiam 2700 zł, co ja zrobiłem". Ponieważ podejrzany nie zdradzał chęci do kontynuowania dalszej rozmowy poleciłem go odprowadzić do celi, mówiąc, aby zastanowił się nad całokształtem sprawy i wybrał drogę, która będzie zgodna z jego sumieniem".

* * *

W dniu 3 września Federowicz robił wrażenie skruszonego i załamanego.

— Chcę obecnie uzupełnić swoje przesłuchanie i powiedzieć prawdę — oświadczył zaraz na wstępie.

— Słucham — powiedziała prokurator.

— Było tak — zaczął wyjaśniać Federowicz. — Ja wódki w ogóle pić nie lubię. Ale zmuszał mnie W. Ja nie chciałem, ale musiałem, żeby nie stracić pracy... Jak już nie pozwolili nam pić w restauracji, piliśmy w polu. Ja nie chciałem pić na polu, bo mnie ludzie znają. Wstydziłem się. Ale W. kazał, to piłem. Potem kazał kupić następne pół litra. Kupiłem. Wódkę wypiliśmy w tym samym miejscu. Znam W., jak zacznie pić, to już do nieprzytomności. Potem mówiłem, że już nie mogę, ale on nalegał. Poszliśmy do restauracji na Rzgowskiej. Kupiłem kilka „setek". Wypiliśmy. Nie chcieli nam sprzedawać, bo byliśmy pijani. Awanturowaliśmy się z bufetową. W. kazał wziąć taksówkę i jechać do sklepu, gdzie sprzedają wódkę. Pojechaliśmy. Za taksówkę ja płaciłem. W sklepie, nie pamiętam gdzie, kupiliśmy jeszcze pół litra. Nie chciałem płacić, lecz W. powiedział „kup pan", więc zapłaciłem. W. chciał pić w bramie. To było na Przybyszewskiego, tam mnie znają, więc się nie zgodziłem. Wtedy przypomniałem sobie o znajomym Tadeuszu S. Pomyślałem, że u niego będziemy mogli pić. Wyszedłem z podwórka z Danusia. Chciałem, żeby mi pokazała drogę do Tadeusza. W. dalej chciał pić. Nie wiem dlaczego nie poszliśmy do Tadeusza, tylko do cukierni na Przybyszewskiego. Tam piliśmy wino. Danusia była z nami. W. kazał mnie wziąć taksówkę. Nie mówił, gdzie chce jechać. Przedtem, w cukierni chyba dawaliśmy Danusi wino. Jechaliśmy długo taksówką.

— Czy podejrzany jest pewien, że to była taksówka?

— Tak, pani prokurator. Jestem tego pewien, gdyż słyszałem jak cyka licznik. Wysiedliśmy za miastem. Było tam dużo drzew. W drzewach tych W. wyciągnął butelkę i kazał mnie pić tyle „ile się tylko zmieści". Gdy wypiłem, położyłem się na trawie. Danusię jeszcze widziałem jak stała obok W. Z chwilą gdy się położyłem, natychmiast zasnąłem, pamiętam, że słońce wtedy świeciło, lecz która mogła być godzina, tego nie wiem. Gdy się obudziłem, było już ciemno. Wstałem i udałem się polną drogą, a właściwie była to bita szosa, gdyż nawierzchnia jej była biała.

— A co się stało z Danusią? — pyta prokurator.

— Nie interesowałem się tym. Po przyjściu do domu sprawdziłem, że wydałem na wódkę przeszło 600 zł. Na drugi dzień normalnie poszedłem do pracy.

— Czy w pracy spotkał podejrzany W.?

— Tak. Pracujemy obok siebie. Cały czas w pracy byliśmy razem.

— Czy W. mówił, co się stało z Danusią?

— Nie przyszło mi do głowy spytać go o Danusię. Nie pytałem, czy odwiózł ją do domu, czy też nie.

— A więc kto poranił i zgwałcił Danusię?

— Tego nie wiem. Ja tego nie zrobiłem. Musiał to zrobić W.

— Podejrzany wielokrotnie zmieniał swoje wyjaśnienia. Czy to jest prawdziwe?

— Tak. Teraz powiedziałem szczerą prawdę. Podpisuję te wyjaśnienia, a jednocześnie odwołuję swoje poprzednie przesłuchania.

Wyszedł z gabinetu zadowolony i pewny siebie.

Ale to wcale nie była ostatnia wersja zeznań Federowicza. Prowadząca śledztwo prokurator Jadwiga Karśnicka otrzymała wyniki ekspertyzy ubrania Federowicza i Danusi S. Ustalono, że Federowicz ma krew grupy „O" zaś Danusia grupy „B". Na wewnętrznej podszewce marynarki Federowicza stwierdzono rozległe zabrudzenia krwią grupy „B". Na rzeczach należących zarówno do Danusi jak i do Federowicza znaleziono ślady nasienia męskiego. Ekspertyza wypadła zatem jak najgorzej dla Federowicza.

W dniu 4. 9. 61 roku odbyło się kolejne przesłuchanie Federowicza.

— Więc jak pan tłumaczy znajdowanie się śladów krwi na pańskiej marynarce? — spytała prokurator.

— Wyjaśniałem już tę sprawę. Miałem krwotok z nosa.

— Podejrzany nie musi mówić prawdy. Jednakże podejrzany był wielokrotnie pouczany, że prawdomówność i okazana skrucha są zawsze brane pod uwagę jako okoliczności łagodzące. Dlaczego podejrzany stale kłamie?

— Ja mówię prawdę.

— Skąd więc na waszej marynarce są ślady krwi Danusi?

— Niemożliwe!

d. c. n.

Z notatnika prokuratora

---

informacje i zaczepki

Przed kilkoma dniami zmarła w Rzeczycy 68-letnia Antonina Legutowska — ludowa tkaczka i wycinankarka. „Odgłosy" pisały o artystce z okazji otrzymania przez nią nagrody Wojewódzkiej Rady Narodowej w roku ubiegłym. W Zmarłej sztuka ludowa straciła nie tylko wybitną artystkę, ale i ofiarnego działacza społeczno-politycznego.

●

Przez czytelnię Łódzkiego Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przepływa rocznie ponad 4 miliony osób. Z powyższego wynikałoby, że statystyczny łodzianin odwiedza popularny „empik" gdzieś niecałe pięć razy do roku.

●

W Łowickim Domu Kultury Nauczyciela była mała, przyjemna kawiarenka. Dziś nie ma już kawiarenki, bowiem miejscowa PSS postawiła nauczycielom ultimatum: albo będzie w lokalu alkohol, albo prowadźcie sobie kawiarnię sami. Niestety, nauczyciele nie byli w stanie przyjąć żadnej z tych propozycji i zlikwidowali kawiarenkę. W ten oto chytry sposób łowicka PSS dba o frekwencję w swoich trzech knajpach, dla których nadczytelnicza kawiarnia była widać niemałą konkurencją.

●

Już dziesiąty rok pracuje Dom Kultury Dzieci i Młodzieży przy ul. Zawiszy 39. W 26 zespołach (orkiestra, nauka języków, kółko plastyczne itp.) znajdują zajęcie, opiekę i ujście dla temperamentu dziesiątki młodych obywateli naszego miasta.

●

Łódzka milicja stosuje pomysłowe i dowcipne metody w zwalczaniu niebezpieczeństwa ruchu na ulicach miasta. Otóż winni przekroczenia przepisów wzywani są na... pogadanki połączone z filmem na temat bezpieczeństwa ruchu drogowego. Podobno kierowcy bardziej boją się pogadanek niż mandatów.

●

Nowy ośrodek wczasowy otwarto niedawno w Arturówku. W ciągu sezonu spędzi tam wczasy prawie 7 tys. osób. Chętnych nie brakuje, bowiem Arturówek to z jednej strony przysłowiowe „lono natury", z drugiej zaś miasto, które o swoich urokach też nie da zapomnieć.

J. W.

TURYSTYCZNA POLSKA B

Dokończenie ze str. 1

żej Teofilowie. Od lat stoją one jednak bezużytecznie, gdyż przypisane są do ośrodka campingowego, a znów ośrodkowi nie opłaca się wyremontować i spuścić ich na wodę. No i leżą w stodole zapomniane przez boga i ludzi.

Co prawda Klub Turystyki Wodnej PTTK zamierzał przejąć i domki campingowe i kajaki, by urządzić stanicę wodną. Takie zapały przejawiano jednak zimą, z nadejściem wiosny brakło chęci i w ostatniej chwili komisja wycofała się z tej historii, no i teraz albo postawi się domki albo nie.

Oczywiście owych kilkanaście trzyosobowych, starego typu domków 700 tysięcy łodzian nie zbawi. Są one jednak doskonałą ilustracją, jak to w łódzkiej turystyce się dzieje. Albo w ostatniej chwili, albo wcale.

W PTTK raczej nic więcej ciekawego nie dowiemy się. Jest jednak jeszcze Łódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki. Może tam? Że łodzianom potrzebne są wyjazdy na tzw. zieloną trawkę ŁKKFiT rozumie i docenia. Ba, by je ułatwić wspólnie z Telewizją, zorganizował poradnik turystyczny i każdej środy w specjalnej audycji poleca się dwa, trzy miejsca na niedzielę poza Łodzią, gdzie handel na ową okazję przygotowuje zaopatrzenie, zaś spece od kultury strawę dla ducha.

Ale cóż znaczą trzy miejscowości, jeśli chciałoby wyjechać co najmniej sto tysięcy łodzian, a powinno wyjechać trzykrotnie więcej. A, że chciałoby i powinno ŁKKFiT wie — mówi o tym chociażby specjalnie opracowana na zlecenie owej instytucji praca poświęcona wypoczynkowi łodzian na „łonie natury".

SPRAWA ŻYCIA I ŚMIERCI

Fachowcy od tych spraw w owym opracowaniu piszą: Łódź ma największy w kraju wskaźnik zatrudnienia, a to wiąże się z potrzebą zorganizowania odpowiedniego wypoczynku. W dodatku bioklimat Łodzi jest bardzo uciążliwy. Z badań przeprowadzonych przez prof. dr St. Zycha wynika, iż ów bioklimat jest bardzo szkodliwy ze względu na wysoką koncentrację czadu, dwutlenku węgla, siarkowodoru, dwusiarczku węgla i kurzu. W dodatku bezplanowa zabudowa utrudnia przewiew i w rezultacie, np. w rejonie ul. Tuwima rocznie opada na km kw. 2.770 ton pyłu. Jeśli w dodatku — czytamy dalej — weźmiemy pod uwagę uciążliwość pracy w zakładach przemysłu bawełnianego i złe warunki mieszkaniowe łodzian, to dojdziemy do wniosku, iż zapotrzebowanie na zdrowy wypoczynek jest w Łodzi większe od przeciętnej krajowej. W tej sytuacji, biorąc pod uwagę zły stan zdrowia ludności trzeba uczynić wszystko, by wyciągnąć, kogo tylko się da, za miasto.

Wszystko jest chyba wystarczająco jasno i dobitnie wyłożone. Tu już nie można mówić o spełnianiu chęci wypoczynku poza miastem, tu trzeba robić wszystko, by wypędzać łodzian z miasta w każdą pogodną i wolną od pracy chwilę. To sprawa już nie zabawy, lecz życia i śmierci.

A co nam mogą spece od turystyki zaoferować? W najlepszym wypadku kilkadziesiąt miejsc w różnych miejscowościach, gdzie można przenocować z soboty na niedzielę i dostać coś niecoś do jedzenia. Chełpimy się, iż w Sulejowie jest zorganizowany piękny ośrodek campingowy, który może przyjąć na jednorazowy nocleg ponad sto osób, a w dodatku dysponuje rezerwowymi namiotami. Ale powodów do dumy nie widać, ośrodek bowiem stanął staraniem władz warszawskich i znajduje się w ich administracji, a więc jest dla łodzian dostępny, jeśli warszawiacy zostawią nam troche wolnych miejsc. W dodatku jakże można łodzianinowi radzić Sulejów, jeśli dojazd „ciuchcią" tylko z Piotrkowa do Sulejowa (17 km) zabiera dokładnie 57 minut.

A co może zaoferować Łódź na terenie województwa? W Tomaszowie — 26 miejsc do spania, w Wieruszowie nad Prosną — 12 miejsc, w Podklasztorze — 30, w Grotnikach — 12 i... to bodaj wszystko. Piszemy bodaj, gdyż ośrodki te znajdują się we władaniu różnych organizacji terenowych, które z Łodzią kontaktu raczej nie utrzymują — i tak zawsze mają komplet.

Nie odkrywamy tu żadnej Ameryki pisząc, iż łodzianin skazany jest na spędzenie weekendu w mieście, choć powinien właśnie odbyć go z dala od miasta. Mówi się o tym od lat. Wynikiem tych rozmów był chociażby projekt z początku lat pięćdziesiątych, by urządzić wielki ośrodek weekendowy w Mrodze nad rzeką Mroga. Jak jednak mówią po cichu specjaliści od turystyki Mroga nie jest najlepszym terenem na tego rodzaju obiekt. Wody tam mało, natomiast komarów bardzo wiele, gdyż wszystko położone jest w dolinie. W dodatku dojazd nie najlepszy i trzeba by pomyśleć o pociągnięciu linii tramwajowej. W tym roku, jak się dowiedzieliśmy w ŁKKFiT, dokumentacja została wykonana, ale znów okazało się, że obecnie pilniejsze i łatwiejsze w realizacji są inne inwestycje turystyczne, zrezygnowano więc na jakiś czas z urządzania owego ośrodka.

SKAZANI NA WŁASNĄ INICJATYWĘ

Jeśli wejdziesz do PTT-K poradzić się, gdzie można by wyjechać na niedzielę usłyszysz, iż jest co prawda trochę miejsc z wodą i zielenią, ale nic atrakcyjnego właściwie doradzić nie można; ubodzy jesteśmy w tereny zielone i wodę — stara śpiewka i wciąż modna. Z dwu chociażby względów nie można jednak zgodzić się z nią. Po pierwsze — mimo wszystko Łódzkie jest na tyle atrakcyjne, iż jedynie za pośrednictwem „Orbisu" w 1960 roku 15 tysięcy turystów-cudzoziemców bawiło w naszym województwie i znaleźli atrakcyjne tereny. Znajdują je również liczne kolonie i obozy z całego kraju. Po drugie zaś, to fakt, iż mimo wszystkich uniedogodnień (brak punktów z żywnością, schronienia przed deszczem itp.) w każdą sobotę i niedzielę wyjeżdża z Łodzi około 100 tysięcy osób, a drugie sto tysięcy szuka „zielonej trawki" w granicach Łodzi. Pękają więc w szwach pociągi i tramwaje, bo przecież „organizatorzy" turystyki nie planują takiej ilości wyjeżdżających, ba, chyba uważają ją za klęskę żywiołową.

A, że uważają — świadczy chociażby regularne, rokrocznie skreślanie z rozkładu jazdy pociągu do Spały, choć jest to jeden z niewielu autentycznych ośrodków wypoczynkowych w województwie. I władze Łodzi godzą się, że odcina się miasto od Spały, nie potrafią dość ostro zaprotestować i zażądać. Kto chce spędzić niedzielę nad Pilicą, niech drałuje piechotą z Tomaszowa.

Albo Kielce czy Bydgoszcz. Oba województwa wymarzone dla łódzkich turystów, gdyż położone względnie blisko. Ale gdzie tam, i tu i tam trzeba jechać wiele godzin wyczekując na przesiadki. Ba, zabrano nam nawet pociąg do Zakopanego. A my nic, my przesiadamy się, albo rezygnujemy z jazdy. Ktoś układający rozkład przyzwyczaił się już, że Łódź o turystykę nie martwi się.

A jednak ludzie jeżdżą. Jeździ owych sto tysięcy każdej niedzieli. Jeździ wbrew PKP, wbrew logice, wbrew wszystkiemu, co wynika z obserwacji działalności organizacji powołanych do prowadzenia turystyki. Czy wiecie np. iż PTT-K nie ma prawa urządzania tanich wycieczek samochodami, gdyż byłaby to konkurencja dla PKS! Można jedynie organizować wycieczki połączone z „usługami", a więc drożej skalkulowane.

CO DALEJ?

Łodzi niezbędnie potrzebne jest zaplecze weekendowe. Zaplecza takiego nasze miasto wciąż nie posiada. Słowem przekonaliśmy się, iż dobrze nie jest. Ale może chyba być jeszcze gorzej. Wskazuje na to owo cytowane już wyżej opracowanie problemu turystyki przez fachowców. Obliczają oni, iż Łodzi potrzeba rocznie 100 tysięcy wczasów (dla 25 proc. ogółu zatrudnionych), z tych 100 tys. 36 tys. miejsc powinno zapewnić 100 ośrodków campingowych. Dalej potrzeba 100 tys. letnisk (a w tej chwili „Gromada" faworyzuje nasze miasto pod względem ilości miejsc, gdy jednocześnie właśnie woj. łódzkie zgłasza najmniej miejsc letniskowych).

Oblicza się również, iż na weekendy czyli tzw. wczasy świąteczne powinno wyjeżdżać jednorazowo 300 tys. łodzian, a więc niewiele poniżej 40 proc. ogółu mieszkańców.

Te cyfry to nie jest bynajmniej program maksimum. Jeśli turystykę postawi się na właściwym poziomie, chętnych będzie zapewne jeszcze więcej. Ale nawet zrealizowanie tego programu wymaga zwrócenia o wiele większej uwagi niż dotychczas na sprawę wyjazdów wypoczynkowych z miasta. Czy mamy dosyć terenów zielonych, by zapewnić tej ogromnej ilości wyjeżdżających odpowiednie warunki? Naszym zdaniem mamy, a zdanie to potwierdza również owo cytowane już kilkakrotnie opracowanie.

Przede wszystkim mamy jednak w Łódzkiem, wbrew pesymistom, trochę rzek i zalesionych brzegów. Rzecz jednak w tym, iż owych rejonów nie dostrzega się, gdyż są trudno dostępne. Nieosiągalne dla turysty pozbawionego własnego środka lokomocji są rejony środkowej Warty, brzegi Pilicy, ośrodki uniejowski i wieruszowski, a także wiele innych. Niewątpliwie w planach perspektywicznych trzeba pomyśleć o umożliwieniu docierania w te rejony osób obarczonych rodziną, a pozbawionych czterech czy choćby dwu kółek.

Szukając miejsc dogodnych do zorganizowania obozowiska nieodparcie nasuwa się wniosek, iż pilnie potrzebna jest mapa turystyczna regionu łódzkiego. Inne województwa już dawno zdobyły się na takie mapy i każdy bez trudu dowie się z nich, gdzie można rozbić namiot, gdzie łowić ryby, gdzie zapolować, gdzie zwiedzić coś ciekawego. U nas o mapie takiej marzy się, ale nic się nie robi by ją wydać.

Takich „trzeba" jest wiele. Ot, chociażby konieczne jest natychmiastowe powołanie jakiegoś organu, lub zlecenie PTTK koordynowania budownictwa obozowisk campingowych przez poszczególne zakłady pracy. Obecnie, o ile wiemy, nikt w Łodzi nie wie, ile takich obozowisk mamy i gdzie one się znajdują. Każdy zakład, każda spółdzielnia i instytucja buduje i organizuje sobie. A może taki organ koordynacyjny mógłby zapełnić luki w wykorzystaniu owych ośrodków, komasować fundusze z kilku instytucji i budować ośrodki zbiorowe dla tych, którzy w pojedynkę nie są w stanie zdobyć się na poważny wydatek. Ba, zadań dla takiego ciała koordynacyjnego można wyliczyć wiele. Chyba jednak naszym zadaniem nie jest „ustawianie" specjalistów. Zadaniem naszym może być jedynie zasygnalizowanie problemu i ewentualne doprowadzenie do polepszenia sytuacji. I tutaj już ostatni wniosek: ponieważ w Łodzi bardzo wiele osób i instytucji interesuje się wypoczynkiem łodzian, bardzo wielu ludziom leży na sercu, by Łódź przestała być turystyczną Polska B, przedkładamy nasze spostrzeżenia i refleksje do publicznej dyskusji.

WALDEMAR UCHMAN

Zdjęcia: A. KONDRATIUK

Publikując artykuł Waldemara Uchmana otwieramy dyskusję pod hasłem „Aby Łódź przestała być turystyczną Polską B".

W ubiegłym tygodniu odbyło się w naszej redakcji spotkanie przedstawicieli instytucji i organizacji zainteresowanych sprawami, które porusza publikowany artykuł. W najbliższych numerach zamieścimy obszerny stenogram tego spotkania.

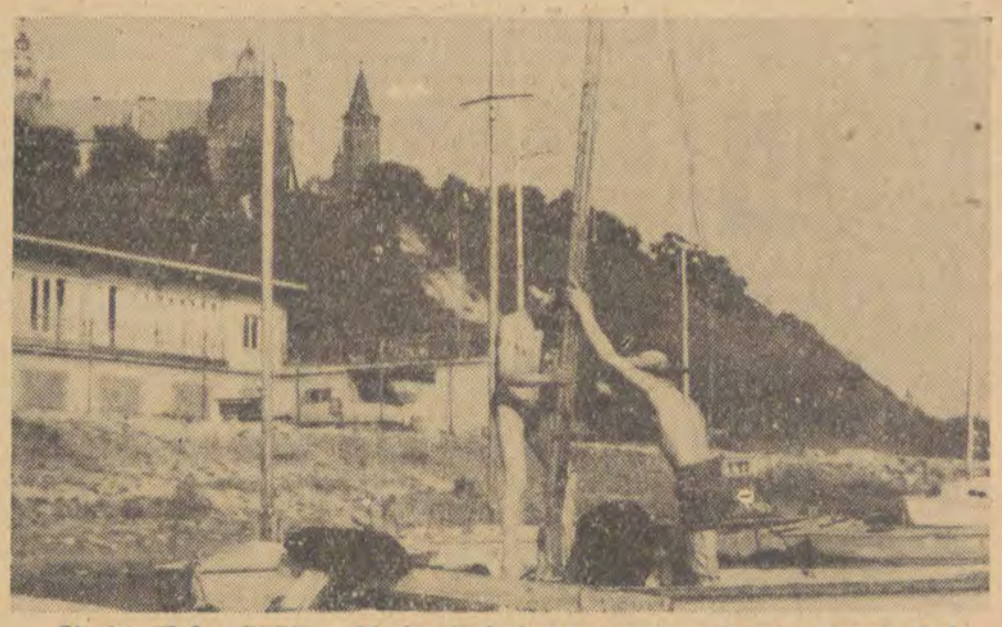

Stanica Wodna PTTK w Płocku. Wybudowana kosztem 2,5 mln. złotych, (twią część tej sumy pochłonął nasyp), oddana do użytku w roku 1960 jest wymarzona dla wodniaków łódzkich. Można tu spłynąć z Pilicy Wisłą. Można przytaszczyć się koleją, kajak zostawić na cały sezon w hangarze stanicy za drobną opłatą. Można też zadekować tu żaglówkę. Jedna z 12 łajb zmagazynowanych w stanicy płockiej „EZOB" (dlaczego „B" na końcu?) jest własnością łodzianina. „EZOB" to widomy znak obecności Łodzi w stanicy płockiej. Są jeszcze znaki szczególne o których piszemy na str. 12. Chodzi o to, aby te znaki były normalne, aby łodzianie najeżdżali Płock ławą, często i planowo. Kierownik stanicy p. Sławomir Głowacki (telefon do Płocka 25-18) uprzedzony w porę zapewni nocleg, a gdyby nie był w stanie — miejsce biwakowania w pobliżu nietrudno znaleźć.

Na Wiśle oczywiście rybołówstwo, dla posiadaczy kart pływackich kąpiel i kajakowanie, dla wszystkich plaża i... żegluga. Atrakcją dla łodzian może być półtoragodzinna przejażdżka zmodernizowanym stateczkiem. Statki kursują do Torunia, skąd można do domu po całodziennej lub dwudniowej wycieczce powrócić za pomocą PKP.

Ponad stanicą Dom Wycieczkowy PTTK, projektu prof. Leykama. Nowoczesnych kształtów bryła domu legła na wysokiej skarpie, z której roztacza się jedyny w swoim rodzaju widok na zabytki płockie, ziemię mazowiecką i Wisłę. Pławi się w niej o zachodzie słońce, wydając przepiękne i nieopisywalne refleksy świetlne i kolorystyczne. Dom Wycieczkowy, z kawiarnią, tarasem, salami klubowymi i pokojami hotelowymi jest szczytem dostępnego komfortu. Miejsca w hotelu w cenie 25 zł. od łóżka w pokoju 3-osobowym i 14 w wieloosobowym należy rezerwować pisemnie na adres: Płock, Piekarska 1 D. W. PTTK. Jak mówi sympatyczny szef płockich obiektów turystycznych p. Heyko „mamy w tej chwili stuprocentowe obłożenie, ale jak trzeba dostawiamy łóżka". A zatem i tu może być weekendowy punkt docelowy łodzian.

O tych co na morzu

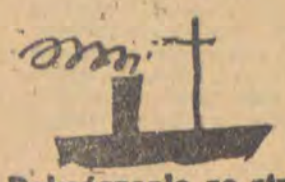

Dokończenie ze str. 1

Jeszcze inny sposób polega na udzielaniu porad przez radio; statek łączy się z wyspecjalizowanym w tej dziedzinie lekarzem, który potrafi na odległość pokierować trudną nawet operacją. Opowiadają, że w czasie wojny znany chirurg angielski dokonał tym systemem wycięcia wyrostka robaczkowego na... własnym synu, pechowym marynarzu korwety, zabłąkanej w tym czasie na dalekich morzach. Wyobrażam sobie, co przeżywał ów wybitny lekarz, dyktując cięcia skalpelem jakiemuś poczciwemu bosmanowi, którego ręce zgrubiałe od roboty, mimo najlepszej woli, tyle mogły wyrządzić szkody.

Ale marynarz, zdrów i zuchowaty z natury, szybko o tych wszystkich pouczających opowiadaniach zapomina — skłonny jest czasem twierdzić, że załoga zawsze sobie bez lekarza poradzi. Mija przecież nieraz kilka rejsów, a lekarz tyle tylko, że wydaje aspirynę i komuś tam zabandażuje skaleczony palec. Byczy się chłop — powiada załoga — je, pije i bierze dolary, jak my — za ciężką pracę. Tak, słyszałem tutaj i tego rodzaju oświadczenia, wprawdzie nie wprost wypowiadane, ale przy pomocy domyślników, mimochodem rzucanych docinków, aluzji i uwag.

Istotnie, nasz Doktor, medyk młody i żądny lekarskich przeżyć, nie miał do tej pory zbyt wiele do roboty: proszki, pigułki przeczyszczające — to było dotychczas wszystko. Być może nawet on sam oczekiwał w skrytości ducha jakiejś wielkiej lekarskiej przygody, która by udowodniła sens jego pobytu na statku. Nie spodziewał się pewnie, że Wielka Próba nadejdzie tego dnia, kiedyśmy tak szeroko roztrząsali tematy medyczne.

Otóż w południe nastąpił pierwszy wypadek, który miał rozpocząć fatalną serię. Jeden z marynarzy zaprószył sobie oczy rdzą i sprawa zapowiadała się nawet groźnie. Doktor nie mógł jednak przeprowadzić zabiegu czyszczenia gałek ocznych tak dokładnie, jak sobie to zaplanował: odwołano go właśnie do drugiego wypadku. Siedemnastoletni praktykant, pośliznął się i zleciał z tak zwanego mostku palangowego na niższy pokład. Przyniesiono go bez wyraźniejszych śladów obrażeń, ale któż tam wie, co dzieje się w jego wnętrzu.

Doktor biegał więc już teraz od jednego pacjenta do drugiego, gdy... zameldowano o trzecim, najpoważniejszym wypadku. Inżynier przewrócił się w łazience tak nieszczęśliwie, że rozbił umywalnię, a skorupami poprzecinał sobie żyły w nodze. Gwałtowny krwotok, konieczność natychmiastowej operacji, za kilka godzin mogą powstać skrzepy zagrażające nawet życiu.

Operować... Jak na złość morze pomarszczyło się groźnie i poczęło dość silnie huśtać statkiem. Doktor zadecydował jednak, że będzie przeprowadzać zabieg.

Obserwowałem jego ruchy zza wielkiej szyby dzielącej salon oficerski od mesy, która nasz nieoceniony Steward szybko przekształcił w salę operacyjną.

Inżynier legł na stole, gdzie normalnie pożeraliśmy nasze posiłki, i w oczekiwaniu na pierwsze cięcie opowiadał doktorowi kawały, aby mu dodać ducha w godzinie tej twardej próby. Kiwał się na fali statek, kiwał się pacjent na stole, kiwali się asystenci, a nad nimi balansował swoją olbrzymia postacią Doktor ładując inżynierowi w nogę zastrzyki znieczulające.

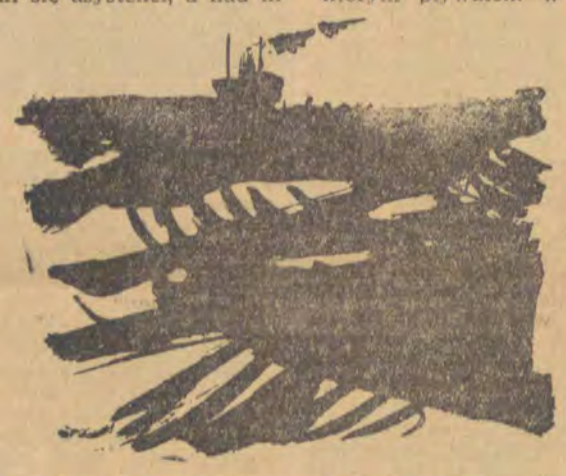

Nie lubię „rzeźniczych" opisów i dlatego zaoszczędzę Czytelnikowi relacji z tego, co się działo przez półtorej godziny w mesie. Tak, trwało to dokładnie półtorej godziny. Prawdopodobnie operacja zwana „pierwotnym opracowaniem rany", sama w sobie nie była trudna — setki takich dokonuje się codziennie na ładzie i nikt się nad nimi nie rozpisuje... Ale tutaj, na rozbujanym statku, zważywszy, że lekarz miał do pomocy gorliwych, ale jakże niefachowych asystentów — Ochmistrza i Trzeciego Oficera — a używać sam mógł tylko najprostszych narzędzi chirurgicznych — tutaj to było czymś... Czuliśmy tak wszyscy śledząc przez szybę ruchy rąk Doktora. Na dobitek nici, którymi lekarz podwiązywał żyły pacjenta, zaczęły się rwać — apteka „Gerwazego" zaopatrywały brakoroby. Kapitan kazał „rozpruć" apteczkę w jednej z szalup ratunkowych — okazało się, że tam w ogóle nici nie ma. Minuty mijały.

Drzwi salonu otworzyły się naraz i stanął w nich Kapitan. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność, niepewny, czy ktoś tutaj siedzi; światła w salonie wygasiłem przed chwilą, przez co „sala operacyjna" za szybą upodobniła się do pięknie iluminowanego akwarium. Kapitan dostrzegł mnie wreszcie.

— Po co tu, redaktor, siedzisz? Chodźmy do mnie na górę, wypijemy kroplę whisky.

— Dziękuję, Kapitanie. Muszę to obserwować z zawodowego obowiązku. W końcu taka gratka jak operacja na pełnym morzu, zbyt często się nie zdarza.

— A co w tym ciekawego? Ja mógłbym opowiedzieć panu historie. O tym, jak sam operowałem — i to nie w takich cieplarnianych warunkach. Zresztą... niech pan chwilkę zaczeka, whisky przyniosę tutaj...

Po kilku minutach był już z powrotem. Usiadł obok mnie na fotelu, na podłodze postawił butelkę whisky i dwa kieliszki. Za szybą Doktor walczył dalej z rwącymi się nićmi. Kapitan nie zwracał na „salę operacyjną" najmniejszej uwagi.

— Zapewne pan wie — mówił — że „Cieszyn", na którym pływałem w czasie wojny, został w końcu zbombardowany. Niedaleko od wybrzeży Anglii. Otóż spadło na nas kilka bomb lotniczych i aniśmy się spostrzegli, jak statek był już tonącym wrakiem. Jakiś złośliwy odłamek zranił mnie w nogę, okazało się później, że jabłko kolanowe miałem pęknięte na pięć równych części...

— Równych?

— No, mniejsza z tym. Marynarze opasali mnie liną wpół i spuścili do szalupy. W szalupie było, prócz mnie, jeszcze dwóch ludzi: zdrowy marynarz przy wiosłach i młody kadet, fatalnie raniony w twarz. Stał na mostku, gdy obok eksplodowała bomba. Siła odrzutu rozbiła kompas i szkło osłony cisnęła mu w twarz: policzek miał rozszarpany do samego ucha i prawie odcięty język. Ale to wszystko stwierdziłem później. Na razie bujaliśmy się bezsilnie obok burty statku czekając na dalszych rozbitków. Nikt się jednak do nas nie kwapił; szalup było dość a ludzie woleli ładować się z przeciwnej burty, gdzie fala była słabsza. „Sztukasy" wracały. Widząc, że nie ma na co dłużej czekać, krzyknąłem do marynarzy: „wiosłuj w stronę lądu".

Powiedziałem przedtem, że ląd angielski był blisko, ale... z punktu widzenia człowieka płynącego na pokładzie statku. Teraz, gdy gramoliliśmy się szalupą, okazało się, że jest daleko. Z kadeta krew upływała, nie można było dłużej czekać. „Wiosłuj równo, z falą — powiedziałem do marynarza — a ja będę operował". Otworzyłem szalupową apteczkę, wyciągnąłem igły, nici, bandaże, jodynę. Ścisnąłem kadetowi głowę kolanami (między innymi tym zranionym) i zacząłem szyć policzek. To był naprawdę piękny ścieg. Potem zabrałem się do języka. Ale tego kadet nie wytrzymał i zaczął się ciskać w prawo i lewo. Wiedziałem, że muszę dokończyć operacji za wszelką cenę. Chwyciłem jakiś ciężki przedmiot — zdaje się, że to była dulka od wiosła — i rąbnąłem go w głowę. Najlepsza narkoza, drogi redaktorze — ani drgnął. I spokojnie przystąpiłem do zszywania języka...

Słuchałem kapitana z mieszanymi uczuciami. Wiadomo mi było z całą pewnością, że „Cieszyn" zatonął zbombardowany i że nasz kapitan (podówczas drugi oficer) ranny został w nogę... Ale reszta opowiadania...

— No, a skutek tej operacji?

— Skutek, mój panie. Na ładzie zabrali zaraz kadeta do szpitala, mnie zresztą także. Tam miałem okazję przyjrzeć się dobrze skutkom mojej operacji. Kadet nie był nigdy zbytnio elokwentny, a po angielsku nie umiał ani słowa. W szpitalu dostał wkrótce takiej „gadanej", że z miejsca zakochała się w nim pewna pielęgniarka. Angielka rodowita. Ożenił się z nią później. Sądzę, że mój udział w tej sprawie był niemały — chodzi mi o jego język...

— Si non e vero... — rzekłem.

— Koniec! — krzyknął za szybą Doktor. Zrzucił rękawice i zapalił papierosa. Eksperyment operacyjny zakończony został pomyślnie.

Kapitan nalał mi jeszcze jedną whisky.

— Proszę zapalić teraz światła, zagramy sobie w brydża — powiedział.

Przy rozdawaniu kart drżały mu ręce: był to niewątpliwy objaw zdenerwowania. Nie sądzę, żeby wzruszyły go tak bardzo dalekie wspomnienia wojenne. Był dobrym Kapitanem, dbał o swoją załogę, a poza tym na stole leżał przecież jego kolega ze szkolnej ławy...

MIROSŁAW AZEMBSKI

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Tak i nie

Dozna się ziemi cięższej od senności
i wysokość będzie płytsza od igliwia
bez szans zejścia w fundamenty
i dalekość czasu i jego pobliże
staną się węższe od dokonanej już wieczności
i odzyska się poczucie klęsk
szlachetniejszych aniżeli pierwsze lepsze zwierzę.

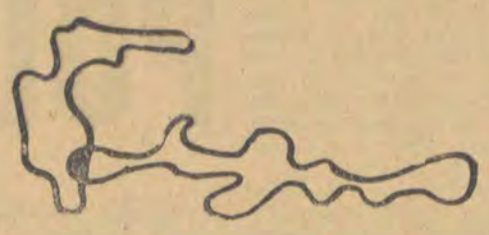

* * *

Jestem ciszą znakomitych talentów, jestem szeptem
niewątpliwych zamiarów
i z całą powagą powiadam,
Knującym totem i białym pawiem.
Nie ginie bowiem biały paw w ciemności
nieprzyzwoitych manier,
lecz w świetle dobrych obyczajów z całym spokojem
uchodzi.

* * *

O czym szczekają psy?
(Kot — ten owszem, miauczy).
Jak trudno wejść w posiadanie wszystkich
głosów —
Choć są pochlebne i pyszne jak koncert
wielkopański.

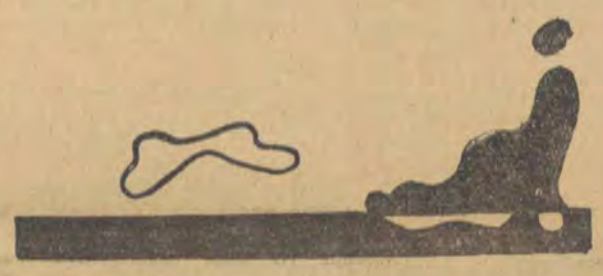

* * *

Któż jest ten
któż jest ten który mimo tylu przeszkód dopiero
będzie
w ile wszedł już czasów
wzleciał wysokości
jednocześnie miał wiele pomysłów o sobie
a wygląda też całkiem inaczej
mały, biedny i nękany zgryzotą, spekulujący
dosłownością
i rozsądkiem — przed chwilą spłodzony już idzie do
fotografa
truchcikiem powraca i na pionie twardniejącego
kręgosłupa
z nowym autoportretem obraca się wokół siebie.

Aleksander Konicki: MUZYKA w maju i czerwcu

Początek maja zaznaczył się w Filharmonii koncertem dość niezwykłym, jak na nasze zwyczaje. Całą drugą część poświęcono muzyce XX-wiecznej (w tym dwa prawykonania) i można by zapomnieć, że chyłkiem zniknął z programu zapowiadany „Tren" Pendereckiego! W myśl oportunistycznej maksymy „...i diabłu ogarek" domieszano jednak Symfonię Haffnerowską Mozarta, która wypadła słabiej od pozostałych utworów. Krzysztof Missona zaprezentował ich trzy: „Toccatę i fugę w formie wariacji" nieżyjącego już Artura Malawskiego (z r. 1949), „Concertino" Jean Françaixa, ciekawej indywidualności dzisiejszej muzyki francuskiej oraz znaną I Suitę na małą orkiestrę Strawińskiego, po której domagano się bisów. Solistka pierwszych dwu utworów, Regina Smendzianka, ustawicznie wzbogaca swój repertuar, korzystnie wyróżniając się z grona polskich zaprzysięgłych szopenistów. Jest to pianistka niezawodna — czy to w skomplikowanym rytmicznie i harmonicznie utworze Malawskiego, czy też oddając wyrafinowaną prostotę filigranowego drobiazgu Françaixa. Dodajmy, że omawiany koncert wymagał od słuchaczy nie tylko muzykalności, ale też poczucia humoru — tak dalece muzyka Strawińskiego i Françaixa odbiega treścią i ujęciem od Bacha czy Brahmsa.

Odnotujmy teraz jednolity w swym obliczu program koncertu prowadzonego przez Arkadiusza Basztonia — Bach, Mozart, Beethoven, (solistka Lidia Kozubkówna) — w którym świetne wykonanie VIII Symfonii zakończyło tegoroczny cykl beethovenowski i przejdźmy do czerwcowego występu zagranicznego pianisty. Był nim Amerykanin Daniel Pollack, jeden z laureatów poprzedniego Konkursu im. Czajkowskiego. Artysta ten otrzymał od natury wyjątkowo dużą i silną rękę, co go znakomicie dysponuje do wykonania koncertu b-moll Czajkowskiego, owacyjnie też przyjętego przez łódzką publiczność. Również jakość brzmienia i frazowanie zasługuje u Pollacka na pochwałę, może tylko nadmiernie wykorzystuje on biegłość swych palców nadając np. Etiudzie a-moll Chopina tempo tak „wyścigowe", że odbiera to już sens utworowi. A jak wiadomo Chopin bardziej niż ktokolwiek inny przeciwny był wirtuozerii samej dla siebie.

(A propos konkursów im. Czajkowskiego warto zauważyć, że skrzypek radziecki Borys Gutnikow, kompletnie zlekceważony przez łódzkich melomanów w grudniu ubiegłego roku, kiedy to dał u nas recital przy pustej sali, właśnie uzyskał pierwszą nagrodę na tym najtrudniejszym chyba konkursie-gigancie).

O ile wykonanie przez orkiestrę Filharmonii pod batutą Stefana Marczyka „Finlandii" Sibeliusa podobało się, o tyle wzbudzić musi zastrzeżenia hałaśliwe i niezrównoważone w proporcjach przedstawienie przez Chór Mieszany Filharmonii i orkiestrę „Tańców polowieckich" Borodina. Mała sala przy ul. Narutowicza ze względów akustycznych niezbyt nadaje się do tego typu produkcji — świetnych na przykład w Hali Sportowej na koncercie popularnym (do czasu zbudowania Teatru Wielkiego).

Jak zwykle przy końcu sezonu jesteśmy świadkami licznych popisów młodych adeptów szkół muzycznych wszystkich stopni. Cieszą nas ich osiągnięcia, pokładamy nadzieję w rosnącej wciąż liczbie muzyków o wysokich kwalifikacjach zawodowych, choć (niestety) minimalne zainteresowanie muzyką ze strony społeczeństwa utrudnia normalny rozwój, a niejednokrotnie stawia absolwentów uczelni muzycznych w tragicznej sytuacji ludzi niepotrzebnych, dla których brak zatrudnienia w wybranej i wyuczonej specjalności.

Filharmonia użyczyła sali młodzieży Państwowej Szkoły Muzycznej z Pl. Zwycięstwa a następnie również i swej orkiestry dla towarzyszenia solistom — absolwentom Państwowego Liceum Muzycznego. Nie sposób omawiać po kolei uczestników tego ostatniego popisu, choć podobali się wszyscy. Występowały pianistki: Grażyna Kaszewska i

str. 6 odgłosy

str. 9

Fot. T. Królak

Fot. J. Wiśniewski

Jerzy Wilmański

W Łowiczu

i gdzie indziej, czyli przechadzki po regionie

Regionalizm. Słowo, które u jednych wywołuje ironiczny grymas, u innych entuzjazm. Tam, na dalekich planetach, na które człowiek niebawem dotrze, żyją istoty rozumne w postaci mrówek lub galaretki, tu na Ziemi — pasiaki, przyśpiewki i Wincenty Kaźmierczak. Czas — mówią przeciwnicy — skończyć z hołubieniem regionalnych upodobań, bo to przeżytek śmieszny i trochę zaściankowy.

Zgoda. Budzimy się któregoś dnia, a wokół nas kultura tzw. uniwersalna i z głośnika twist w wykonaniu Dzierżanowskiego. Oczywiście upraszczam, ale śmiem twierdzić, że owa uniwersalna kultura chyba jednak nie istnieje. Nie wyobrażam sobie jakiejkolwiek narodowej kultury bez owych zasadniczych elementów — tradycji regionalnej.

Oczywiście, nie podzielam zdania tych, którzy podnoszą gwałt dlatego, że łowicka wieś wdziewa pasiaki tylko dwa razy do roku — na Boże Ciało i Dni Łowicza. Po pierwsze to niezupełnie prawda, po drugie sprawa kultywowania tradycji nie tu się zaczyna i kończy.

Tradycje regionalne na pewno trzeba chronić. Będzie z pewnością truizmem, gdy powiem, że świadczą one o kulturze narodu, jego historii, rozwoju. To jasne. Region, każdy region pobudzał, wzbogacał twórczość wielu wybitnych artystów. Przykładów oczywiście aż nadto. Tradycje i obyczaje regionalne były zawsze tym czynnikiem, który najdłużej, przez wieki nieraz, opierał się próbom wynarodowienia. Dlaczego dziś mamy rezygnować z tego potężnego czynnika przy tworzeniu socjalistycznej kultury?

Piszemy o tych sprawach dlatego, że w ostatnich tygodniach byliśmy świadkami dwu dużych imprez o charakterze regionalnym: Dni Łęczycy i Ziemi Łęczyckiej oraz Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej. Na marginesie tych właśnie uroczystych „galówek" chcemy wypowiedzieć kilka uwag na temat regionalizmu.

Jak wiadomo, we wszystkich akcjach należy unikać przesady, która nader łatwo spowodować może przesyt. Czy jest przesadą coroczne organizowanie Dni poszczególnych regionów? Na pewno nie. Wbrew pozorom przeciętny mieszkaniec naszego województwa niewiele wie o tradycjach regionalnych Ziemi Łódzkiej. Nawet o — wydawałoby się — dostatecznie spopularyzowanym regionie łowickim wiemy mało. Dość powiedzieć, że reporter pewnego dziennika pisząc o Dniach Łowicza mylił pojęcia łowiczanina i Księżaka. Czytamy bowiem: „Na stacyjce przed Łowiczem wsiadła do pociągu spora grupa „Księżaków". To oczywiście nie byli Księżacy, którzy zamieszkują przecież ziemie na północ od Łowicza, lecz po prostu łowiczanie. Powie ktoś, że się czepiam. Ale chodzi po prostu o to, że wiemy o tych sprawach mało. Prowincjonalne muzea nie załatwią problemu. Nie załatwią problemu Dni, nie poparte ani w wypadku Łęczycy, ani w wypadku Łowicza rzetelną informacją historyczno-etnograficzną. Oddać trzeba co prawda sprawiedliwość Łęczycy, gdzie na uroczystej sesji sprawy te znalazły się w referacie przewodniczącego MRN. Ale to już chyba zasługa takich zakochanych w swoim mieście historyków, jak choćby Adam Bednarek. Jednak to za mało. Warto więc pomyśleć o wydaniu jakiegoś informatora. Niech to będzie skromne nawet kilkustronicowe wydawnictwo, ale niech spełnia podstawowy cel tych uroczystości, jakim jest informacja.

Łęczyckie uroczystości miały poza tym pewien miły akcent — górników. Święto regionalne stało się również świetem robotników z Łęczyckiego Zagłębia. Kto wie, może właśnie dlatego, że pod bokiem miasta rośnie hałdami i wieżami wiertniczymi nowa chluba Łęczycy, kto wie zatem, może dlatego łęczycanie nie popadają w przesadę w opiece nad tradycjami? Miłość, moim zdaniem, podzielona została dość równomiernie i chociaż regionalny zespół z Białej na pewno dorównuje hołubionemu tu zespołowi Ziemi Łowickiej, nikt młodych artystów nie rozpieszcza. I co ważniejsze, nikt kosztem zespołu z Białej nie zaniedbuje innych ogniw kultury. W Łęczycy istnieje od wielu lat amatorski zespół teatralny, który odwiedza wsie powiatu i dociera tam, gdzie dotrzeć nie może zawodowy teatr. W Łęczycy jest również jeden z najlepiej pracujących w województwie Powiatowych Domów Kultury... Tak więc Łęczyca potrafiła zachować proporcje. Kultywuje swoje niemałe przecież tradycje regionalne, nie zapominając jednocześnie o tym, że kultura jest pojęciem daleko szerszym. I aby to, co się rzekło na temat Łęczycy nie było zbyt anonimowe, rzućmy kilka nazwisk: Bednarek — kierownik PDK, Pawłowski — przewodniczący MRN, Urbański — kierownik Wydziału Kultury. Ci ludzie stworzyli na pewno rozsądny model działalności kulturalnej na tym specyficznym terenie.

Niestety, inaczej rzecz wygląda w Łowiczu. Już sam fakt, że „Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej" zostały w bieżącym roku rozszerzone o jeden dzień (16, 17, 18 czerwca) świadczy o pewnej przesadzie. Czyżby chodziło wyłącznie o to, aby zdystansować pod względem czasu trwania inne regiony? Zwłaszcza, że naprawdę nie stało imprez na ten ostatni dzień. W programie trzeciego dnia obchodów znalazły się na przykład targi Powiatowego Zarządu Gminnych Spółdzielni. Na to właściwie zgoda, choć ma się wrażenie, że handlową imprezę PZGS-u komitet obchodu chce wpisać na swój rachunek. Po co? No i rzecz zabawna, w oficjalnym programie owego ostatniego dnia był... film wyświetlany w muszli na Błoniach. Zaiste niebywała atrakcja, jakby to w Łowiczu nie było pięknego i świetnie wentylowanego kina.

To zresztą drobiazgi. Przejdźmy do spraw ważniejszych. Rozumiem, że Łowiczowi trudno o model „właściwych proporcji". Łęczyca może swe miłości dzielić między kopalnię a tradycje regionalne. Łowiczowi pozostała jedna wielka miłość — region. Rozumiem, że prowadzenie jakiejś systematycznej szerokiej działalności kulturalnej w mieście, gdzie część mieszkańców pracuje w Łodzi, a część w Warszawie — nie jest łatwa. Ale jest konieczne.

Regionalizm, jako jedyna droga kulturalnej działalności, musi budzić sprzeciw. W mieście, w którym 30% mieszkańców stanowi młodzież, jest jedno kino i nie ma żadnego amatorskiego zespołu teatralnego (nie biorę pod uwagę efemerycznych zespołów szkolnych, działających zresztą na zamkniętym terenie). W mieście, w którym znajduje się ogromne skupisko inteligencji, a oprócz trzech knajp państwowych i jednej prywatnej nie ma żadnego klubu — ograniczenie działalności do pasiaka i przyśpiewki jest bardzo niebezpieczne.

Jeśli działacz kulturalny powiatowego szczebla w rozmowie z kustoszem muzeum używa zwrotu per „panie kustosie", to owa oryginalna odmiana może być tylko przedmiotem żartów otoczenia. Pozwólmy ludziom mieć prawo do indywidualnej gramatyki. Lecz jeśli ów działacz w polu swego widzenia dostrzega tylko i wyłącznie łowicki zespół pieśni i tańca, to sprawa staje się poważniejsza. A w Łowiczu tak właśnie jest.

Nawet przy dużej dozie dobrej woli łowickiej polityki kulturalnej nie można nazwać mianem „regionalizmu fanatycznego". Gorzej! To „regionalizm kultu jednostki". Przecież istnieją ciekawe grupy regionalne w Walewicach, Bakowie, Dzieżgowie. Niestety, istnieją w cieniu primadonny — Łowickiego Zespołu Pieśni i Tańca. Zespół ten (świetny, to prawda) pochłania równe 50% budżetu (małego zresztą, bo liczącego niewiele ponad 300 tys. złotych) Powiatowego Domu Kultury. Jak w takich warunkach można w ogóle mówić o innych ogniwach działalności kulturalnej?

W Łowiczu stawia się na „pewniaki". Wiadomo — one nie zawiodą. A ciekawe w powiatowym mieście novum — Dyskusyjny Klub Filmowy z interesującymi prelekcjami filmowców, dyskusjami, musiał przerwać działalność, ponieważ organizatorowi — PDK — nie starczyło pieniędzy!

Próby zorganizowania w Łowiczu placówki TWP również rozbiły się o obojętność Wydziału Kultury. Końskie okulary ograniczyły do tego stopnia pole widzenia niektórych działaczy, że nawet wszelkie próby dyskusji kończone są dość gwałtownie. Kierownik PDK, który wątpił w słuszność hodowania primadonny, w chwili, gdy czytacie te słowa, zapewne nie jest już jej kierownikiem — dostał wymówienie.

Mówiąc o łowickim „kulcie jednostki" (zespół bowiem potraktujemy jako jednostkę), nie popadajmy jednak w panikę. Mimo końskich okularów i indolencji Wydziału Kultury regionowi nic złego się nie stanie. Przecież istnieje muzeum, które nawet zanikające przejawy obyczajów ocala od zapomnienia.

To prawda, tylko należało by sądzić, że nad tym wszystkim winna dominować rozsądna, koncepcyjna działalność aparatu kultury. Działalność przemyślana, uwzględniająca hierarchie, ale i nie tracąca z oczu spraw pozornie mało ważnych. Jestem przekonany, że nikt z działaczy powiatowego szczebla nie ma nawet pojęcia, że absolwent wyższej uczelni muzycznej p. Jagiełło zbiera na łowickich weselach przyśpiewki, które podobno zaczynają w zastraszającym tempie zanikać. Nikt nie wie i nikogo to nie interesuje. Tego nie określa żaden paragraf, więc spokojnie można sobie organizować raz do roku „Dni Łowicza", aby pochwalić się zespołem i wycinankarką ze Złakowa, o której, gdyby nie Muzeum, Wydział też by pewnie nie wiedział.

Wiadomo, że są w Łowiczu i w Łowickiem ludzie którzy w pojedynkę, na własną rękę, penetrują region, badają historię i tradycje. Trudno jednak o nich coś napisać, bowiem, jak się rzekło, są to tylko prywatne, powiedziałbym, penetracje.

O ile wiem, nikt nie zainteresował się dotychczas działalnością ogniska plastycznego przy PDK. W czasie Dni można by zorganizować kiermasz prac członków ogniska. Proszę mi wierzyć, że ci 16 i 17-letni chłopcy są autorami interesujących temper i akwarel, mających za temat np. architekturę Łowicza. To miasto z tradycjami Chełmońskiego i Noakowskiego z pewnością nie narzeka na brak talentów plastycznych wśród młodzieży. Można byłoby urządzić dla młodych konkurs na wycinankę. Przecież dziś wycinankę reprezentuje zaledwie parę nazwisk.

Nie można pozwolić, aby regionalizm zawężony został do nielicznego grona półzawodowców. Regionalizm przemyślany i mądry, to rzetelna informacja, to rozszerzanie grona wtajemniczonych. Nie wygląda najlepiej ta sprawa i w Łęczycy. W konkursie na tkaninę ludową wśród laureatek nie widziało się młodych.

Bo zarówno w wycinankarstwie jak i tkactwie ludowym istnieje od pewnego czasu dość kłopotliwa sytuacja. Powstała grupa naprawdę zresztą uzdolnionych artystów, „wielokrotnych laureatów", blokująca dojście innym. I na wsi mówią: „Po co mi tracić czas i wycinać czy robić stary ludowy wzór, kiedy Żaczek bądź kto inny i tak zrobią to lepiej i prędzej sprzedadzą i łatwiej wezmą nagrodę". Myślę, że ambicją ludzi kultury na tych terenach winno być przeciwdziałanie takim postawom. Regionalizm nie może stać się działalnością zawodową, bo wtedy, zamiast tradycji, zostanie nam tylko Cepelia. I trudno od przedsiębiorstwa handlowego wymagać, aby prowadziło pracę popularyzatorską czy kulturalną na wsi.

Od tego jest aparat kultury. I podczas, gdy w Łęczycy aparat ten dopracował się jakiejś rozsądnej koncepcji działalności kulturalno-regionalnej, w Łowiczu rzecz wygląda dość smutno. Model regionalizmu, jaki od niedawna zaczyna wyłaniać się w Łowickiem musi budzić wątpliwości.

Bo sam regionalizm — owo dążenie do zachowania obyczajowej, kulturowej odrębności, to na pewno zjawisko pozytywne i nie przekona mnie tu ironiczny grymas zwolenników uniwersalnej kultury. Pewien mądry Anglik powiedział kiedyś, że „życie byłoby mdłe, gdyby było słodkie". Podobnie chyba z kultura — byłaby bardzo mdła gdyby była uniwersalna.

Ewa Mackiewicz, altowiolistka Bogdan Tomczak, fagocista Sławomir Miłowski. Szczególną uwagę zwrócił na siebie w trudnej „Rapsodii na klarnet" Debussy'ego bardzo muzykalny Mirosław Studziński.

Łódzkie Liceum Muzyczne posiada własną orkiestrę symfoniczną która w dniach 18—20 maja odbyła małe tournee występując na Śląsku Opolskim. W miastach powiatowych Kluczborku i Olesnie oraz w samym Opolu orkiestra ta, przygotowana i prowadzona przez prof. Tadeusza Kaldowskiego, dała koncerty wraz z solistami, wykonując między innymi „Eine kleine Nachtmusik" Mozarta oraz uwerturę Kurpińskiego „Królowa Jadwiga". Poziom artystyczny tego niezawodowego przecież, „smarkatego" zespołu zasługuje na uznanie.

W tym samym czasie produkowała się w sali Filharmonii Łódzkiej „starsza siostra" — orkiestra symfoniczna Wyższej Szkoły Muzycznej pod dyrekcją prof. Tomasza Kiesswetera (z Czwartą Symfonią Brahmsa!) Dalej omówić trzeba koncerty dyplomantów tej uczelni, a więc przede wszystkim „koncert dwóch Grzegorzy" z 11—12 maja, w którym usłyszeliśmy bardzo uzdolnionego klarnecistę — Grzegorza Postołowa, ostatnio wytypowanego na wyjazd do Helsinek na Festiwal Młodzieży. Przy pulpicie dyrygenckim stanął Grzegorz Sutt, któremu orkiestra dobrze zagrała zarówno „Rozamundę" Schuberta, jak i Symfonię d-moll Francka.

Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa akompaniamentu orkiestry Filharmonii w koncertach dyplomantów PWSM 8 i 9 czerwca. Wręcz fałszywie zdarzało się zagrać nawet skrzypcom. Trudno dociec, czy przyczyną jest mała ilość prób czy też nie dość staranne opracowanie przez dyrygenta, który przeważnie ograniczał się do taktowania.

Piękną barwą głosu i dobrym warsztatem dysponuje Delfina Ambroziak, która podziwialiśmy w trudnej partii Ofelii z opery Ambrożego Thomas. Życzliwie przyjęto także Eugeniusza Nizioła — wykonawcę arii z oper Mozarta i Borodina. (Obaj są już solistami Opery łódzkiej).

„Wariacje na temat rococo" Czajkowskiego, jeden z najodpowiedzialniejszych utworów w całej literaturze wiolonczelowej, udanie zagrał Janusz Kubiak, członek Kwartetu Łódzkiego.

Bardzo ciekawie zaprezentowali się pianiści, Zofia Brzezińska doskonale poradziła sobie z efektownym i wyczerpującym Koncertem Chaczaturiana. Zbigniew Lasocki, którego recital miał miejsce niedawno w Łódzkim Towarzystwie Muzycznym, wykonał z temperamentem młodzieńczy I Koncert Prokofiewa znajdując dlań najodpowiedniejszy gatunek brzmienia. Właściwym stylowo, „zawoalowanym" dźwiękiem odznaczała się gra Winicjusza Matuszaka, odtwórcy Koncertu Schumanna. Wymienieni, to tylko część tegorocznych absolwentów łódzkiej Wyższej Szkoły Muzycznej — mamy ich bowiem aż dwudziestu sześciu.

ALEKSANDER KONICKI

BOLESŁAW TYSZEL

MOJE PRZEŻYCIA

Z ŁODZI NA LITWĘ

Drukujemy fragment autentycznego pamiętnika Bolesława Tyszla, jednego z tych nielicznych, którzy przeżyli łódzkie getto i wojnę. W tym dokumencie każde zdanie, niemal każde słowo urasta do symbolu — mówi nie tylko o przebytych cierpieniach, ale także o hańbiącym czasie, oznaczonym swastyką, który minął i już się nie powtórzy.

Poszedłem na ulicę Południową 19 do getta. Dostałem mieszkanie na ulicy Zielnej 13. Getto jeszcze nie było zamknięte. W getcie trzeba było jakoś żyć, więc poszliśmy na ulicę Okopową do czarnej roboty — kopać doły. Tam pracowałem trzy miesiące, potem mnie zwolnili, bo zatrudniali tylko sezonowych pracowników. Trzeba było żyć dalej, rodzina wołała jeść, musiałem kraść, kradłem drzewo z porozbieranych płotów, wyrywałem drzwi z nie zamieszkanych domów, drzewo było drogie. W getcie miałem matkę, ile mogłem, tyle jej pomagałem. Matka mieszkała u siostry, siostra też nie miała co jeść, jak zarobiłem na kradzieży, to kupowałem im chleb. Koledzy z KZMP przekradali się do getta do mnie na narady, co dalej robić, byłem z nimi w stałym kontakcie.

Obiady braliśmy w taniej kuchni, były dnie, że w ogóle nic nie jedliśmy. Pewnego razu odwiedziłem stolarza Zejlika — Zielna 13. Poszliśmy z nim na ulicę Okopową, tam trafiliśmy do jednego z nie zamieszkanych domów, weszliśmy na strych, kolega Zejlik zauważył tam nowe deski. Pod deskami była skóra na buty i żywność: groch, cukier. Przenieśliśmy te zapasy do getta. Sprzedaliśmy to za bezcen, ale mieliśmy co jeść. Chodziliśmy czasami w nocy na ulicę Okopową, tam rosły kartofle, kopaliśmy rękoma i przynosiliśmy po ćwiartce. Innym razem poszliśmy do gmachu Krypo na Placu Kościelnym, tam była szopa, a w niej bele i węgiel, wykradaliśmy te rzeczy.

W ten sposób upływało życie do kwietnia 1941 roku.

Zachorowałem. Był wtedy bardzo ponury i wilgotny dzień, leżałem chory, żona poszła z synem po obiad do taniej kuchni, wtem do mnie ktoś puka. Wszedł policjant z getta i prosi, ażebym poszedł z nim do komisariatu, ponieważ tam mnie potrzebują na ulicę Marysińską. Prosiłem, ażeby zaczekał do powrotu żony. To trwało zbyt długo, więc kazał, żebym się ubrał. Ubrałem się i przed bramą spotkałem żonę z obiadem. Chciała, ażebym wrócił i zjadł obiad, ale policjant powiedział, że chyba zaraz wrócę. Poszedłem do komisariatu, a tam mnie zatrzymano i zaprowadzono do więzienia na ulicę Tokarzewskiego. Za co — nie wiedziałem. Gdy wszedłem do celi, siedziało tam sześć osób. Też nie wiedzieli, za co siedzą, byli to ludzie różnych zawodów. Opowiadali, że tu codziennie ktoś umiera z głodu. W celach było pełno robactwa, gołe prycze, wychodzić nie wolno. Tak siedziałem dwa dni. Po dwu dniach przychodzi do nas strażnik, wywołuje moje nazwisko; zaprowadził mnie do dużego pokoju, tam siedziała żona, matka i syn, mieli z sobą mój plecak, kazali mi się pożegnać z żoną, wyjaśniając że wyjeżdżam na przymusowe roboty. Długo nie pozwalano rozmawiać, tylko dziesięć minut i pożegnaliśmy się. Nazajutrz, trzeciego kwietnia 1941 roku ustawili nas na dziedzińcu więzienia z plecakami. Był dość chłodny ranek, wyprowadzili nas ulicami w kierunku Bałuckiego Rynku. Za mną biegli: syn, matka, żona, synek mi dał nauszniki, ażebym założył bo mi będzie zimno i bardzo płakał. Zaprowadzono nas na Bałucki Rynek. Jedni ubolewali nad naszym losem, a inni, że może nam będzie lepiej. — My natomiast nie wiedzieliśmy, jaki los nas czeka. Żona, matka i syn stali cały czas i czekali dokąd pójdziemy. Doczekaliśmy się kąpieli, około godziny pierwszej wyprowadzono nas z Bałuckiego Rynku. Zaprowadzili nas na ulicę Łąkową. Na Łąkowej przeprowadzali rewizję, zabierano, co kto miał; przeróżne rzeczy, zegarki, nożyki, pieniądze i jeżeli coś znaleźli to bili po twarzy. Ja nic nie miałem. Zaprowadzono nas na Łąkową do obozu przechodniego. Nie zdążyliśmy odsapnąć, bo przyjechało gestapo. Spośród nas wybrali dwadzieścia osób i zawieźli nas do gestapo — tam kazali nam nosić pięćdziesięciokilogramowe worki z cementem, kto szedł powoli otrzymywał cięgi. Około piątej przed wieczorem zaprowadzono nas do obozu. Jeden z kolegów rozchorował się, prosił mnie, ażebym postawił mu bańki. Ja kiedyś praktykowałem u felczera, więc umiałem stawiać bańki. Weszliśmy do izby chorych i poprosiłem lekarza, że chciałbym koledze postawić bańki. Nie było miejsca, więc rozstawiliśmy składane łóżko i postawiłem mu bańki. Lekarz był Polakiem, zauważył, że robię to dość dobrze, przywołał mnie na bok i zaproponował, ażebym został i pomagał mu ze względu na dużą ilość chorych. Ja odpowiedziałem, że pomógłbym chętnie, ale Arbeitsamt nie pozwoli. Nazajutrz rano wywieziono nas do Straszyna. Tam już byli Żydzi z województwa łódzkiego.

Pierwszego maja 1941 roku nie chciałem pójść do pracy, ze względu na święto międzynarodowe. Padał śnieg, ja leżałem na pryczy, przyszedł do mnie strażnik i bił mnie nahajką po głowie, polecił mi wyjść na dziedziniec. Na dziedzińcu ustawiono krzesło. Ludziom polecił zrobić kulę śniegu, posadził mnie na krześle, położył mi tę kulę śniegową na głowie i kazał wszystkim biegać wokoło, potem kazał mi fikać koziołki na śniegu. Wreszcie zostawił mnie w spokoju, wtedy schwycił drugiego kolegę o pseudonimie Kapral i szukał u niego w głowie wszy. Nahajką odgarniał włosy i w ten sposób szukał. Znalazł wesz, drugiemu kazał wyjąć z głowy, położyć na gazecie i zjeść temu, u którego znalazł. To wszystko było okropne. Jeden z kolegów był chory, nie łodzianin, miał 39° temperatury, więc nazajutrz nie poszedł do pracy. Wyrzucono go z budynku przez okno. Więcej go nie widzieliśmy. Innym razem trzeba było ładować na wagoniki ziemię. Szyny, po których chodziły wagoniki, były źle ustawione, więc wagoniki czasami spadały. Pilnowali nas faszyści Ukraińcy — bili nas kijami. Jedzenia dostawaliśmy bardzo mało, bicia jednak było dużo. Miałem piękne nowe ubranie, które sprzedałem za dwa bochenki chleba i dwie paczki tytoniu. Któregoś dnia przywieziono nowy transport Żydów i razem z nimi zabrano nas do Kościerzyny. Tam mieliśmy jeszcze gorzej, codziennie ktoś inny był bity, uczono nas piosenek, zaczynających się od słów: „Ich bin ein Jude".

Kto tej piosenki nie nauczył się, był okropnie bity i kopany. Był między nimi 18-letni chłopiec nazwiskiem Sznajde. Poszedł do wioski, ażeby przynieść coś do zjedzenia, ale go złapano i został tak pobity przez gestapo, że stracił przytomność. Przywiązano potem tego chłopca za ręce do zderzaków i tak z nim wyjechali. Ślad po nim zaginął. Pewnego razu schwytano znowu dwóch, którzy poszli szukać chleba, jednego zabili na miejscu, a drugiemu przestrzelili skroń. Wzięliśmy go do izby chorych i ratowaliśmy go. Pewnego razu, byłem już strasznie głodny, prosiłem ażeby mi pozwolono pójść po żywność. Poszedłem do wsi, obok której pracowaliśmy, tam otrzymałem pół bochenka chleba. W drodze powrotnej natknąłem się na dwóch esesmanów, którzy spisali mój numer i zabrali mi chleb.

W obozie czekali na nas nowi esesmani; ustawili wszystkich w szereg, wyczytali moje nazwisko i czterech kolegów, i kazali nam wystąpić. Pierwszą ofiarą ja padłem. Polecono nam zdjąć spodnie i kalesony, i otrzymaliśmy po siedemdziesiąt pięć batów podwójnych, potem wrzucili nas do bunkra.

Po trzech dniach przyszedł rozkaz, że ci, co zostali schwytani, zamiast kary śmierci zostaną przesłani do karnej kompanii na Wschód. Między nami byli jeszcze inni, było nas ze trzysta osób, odprowadzili nas do Kościerzyny, w Kościerzynie na dworcu składali przysięgę, że będą się na nas mścili do końca. Komendantem obozu został esesman Mene. Zawieziono nas do Pelemonas na Litwę. Tam był obóz po żołnierzach radzieckich rozstrzelanych przez Niemców. O jedzeniu nie było mowy. 10 kg mąki na 300 osób. Zaczęliśmy chorować, drugiego dnia było już dwadzieścia pięć osób chorych. Mnie przydzielili do wyładowania transportu. Było nas tam piętnaście osób. Wykańczały nas choroby i kule esesmanów. Za rzekomą kradzież chleba rozstrzelano Julka Epsztajna. Za to samo przewinienie pan Mene kazał powiesić Arona Zajdemana. Następnego dnia dowiedziałem się, że wszyscy chorzy zostali rozstrzelani, o tym nas powiadomił sanitariusz. Każdy bał się choroby, ale nie wiedział, jak od niej uciec.

Polens „Kulturschöpfer" unter sich

Polscy Żydzi (pocztówka niemiecka)

Halina Pawłowicz i Mirosław Szonert w „Idiotce"

Fot. G. Puciato

LEOPOLD BECK

Wielce zabawna „IDIOTKA" W TEATRZE POWSZECHNYM*)

Ciężki przemysł dramaturgiczny gardzi rozrywką. Szczytem tej pogardy jest określenie: sztuka bulwarowa. O taką właśnie sztukę chodzi w przypadku „Idiotki" Acharda, która idiotką nie jest. Jej babcia (mówimy o rodowodzie dramaturgicznym) nazywała się Lulu, z domu Wedekind i była ucieleśnieniem kobiecego żywiołu, zniewalającego każdego mężczyznę. Lulu była zjawiskiem zupełnie wyjątkowym wśród kobiet. Film postarał się o masową produkcję według wzoru Lulu, sprzedając swoje wyroby najpierw typu: wamp a potem sex-bomba. W tej inflacji mięsiwa, często tylko cielęcego, rzadko kiedy od krowięta wymaga się więcej niż zaprezentowania ładnej buzi i zgrabnej figury. Natomiast Achard przywrócił swojej Józefinie Lanthenay znamiona wyjątkowości wśród kobiet. Ona (Halina Pawłowicz) jest niezwyciężonym żywiołem kobiecości, nieskomplikowanym, ale postawionym w sytuacji pełnej zadziwiających komplikacji — trójkątowych i czworobokowych, jak wymaga tradycja francuskiej komedii bulwarowej. Nie brak też trupa, na szczęście pozascenicznego. „Idiotka" Acharda jest rolą, o którą aktorki się biją i bić będą.

Przedstawienie w Teatrze Powszechnym jest świetnie wyreżyserowane (Aleksander Fogiel). Dobrze się dzieje, że władzy w Polsce nie sprawują producenci „Kobry". Zabroniliby grać Acharda i ukatrupiliby reżysera spektaklu w Teatrze Powszechnym — za żywy, wesoły i zajmujący dowód, iż telekryminolodzy nie potrafią, jak dotychczas, robić kryminałów. Zwłaszcza wesołych i inteligentnych. Hitchcockują czy może raczej kiczkokują i tyle.

Nieprawdą jest, że w „Idiotce" brak tzw. głębszej myśli. Nie ma tam zapewne żadnej zdumiewająco-odkrywczej prawdy intelektualnej, ale jest satyra na burżuazyjny wymiar sprawiedliwości i jest pochwała prawdziwego człowieczeństwa. W jednym przypadku zostało to świetnie wydobyte (Halina Pawłowicz). Józefina Lanthenay uchodzi w gabinecie sędziego śledczego za idiotkę, jedynie dlatego, że nie przychodzi jej do głowy, iż można wybielić siebie, oczerniając kłamliwie innych. Wierzy w prawdę i sprawiedliwość, cóż za idiotka!

W przypadku sędziego śledczego (Mirosław Szonert) pochwałę człowieczeństwa zaprzepaszczono. Przecież Kamil Sevigne robi po wegetacji na prowincji świetną karierę w paryskim sądownictwie. Wystarczy, przy założonych z góry umiejętnościach prawniczych, dać się wykierować na gwiazdę sądową, spełniając, wbrew sprawiedliwości i sumieniu, życzenia możnych tego świata. Sędzia Sevigne przysiągł sobie i swojej trzpiotce-żonie, że zrobi karierę właśnie w ten sposób, po trupach, ale w obliczu pierwszego trupa — drań w sędzim śledczym się załamuje, a zwycięża człowiek i poczucie sprawiedliwości... za cenę złamanej kariery. Ten proces rozwoju charakteru, momenty konsultacji z własnym sumieniem i psychologia niewątpliwie ciężkiej (w opisanych warunkach) decyzji, nie zostały z roli wydobyte.

A jednak role, przede wszystkim role i inteligentny, pełen dowcipu dialog są silną stroną tej komedii. Nawet gdyby w „Idiotce" nie było nic więcej tylko pretekst do popisu dla Tadeusza Sabary (pisarz sądowy) i dla Zbigniewa Niewczasa występującego w dwóch rolach — majstersztykach, to i tak warto by było obejrzeć tę komedię. Ale tak pozostałe postacie, jak i aktorzy stoją na wysokości zadania, postawionego im przez Acharda, autora, który potrafi bawić nie nudząc, za co jemu i aktorom dziękuje łódzka publiczność wielkim aplauzem.

*) Komedia w 3 aktach, tłum. Henryk Roztworowski, reżyseria Aleksander Fogiel, scenografia Zdzisław Topolski.

„MŁODA WIEŚ PISZE"

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i Korespondencyjny Klub Młodych przy ZG Zw. Młodzieży Wiejskiej proszą o nadsyłanie materiałów do następnego rocznika „Młoda Wieś Pisze".

W książce tej będą zamieszczone najlepsze utwory, podejmujące tematykę życia współczesnego, a w szczególności wsi polskiej w jak najszerszym tego słowa znaczeniu, nadesłane przez młodych pisarzy nie mających jeszcze debiutu książkowego oraz wszystkich tych, którzy pragną wypróbować swoje ewentualne zdolności pisarskie. Mogą to być utwory poetyckie, nowele, opowiadania, reportaże, gawędy, szkice publicystyczne i literackie, felietony, pamiętniki, wspomnienia, dzienniki lektury, opisy ciekawych wydarzeń i ludzi, fragmenty większych całości i inne nieduże objętościowo formy odznaczające się walorami literackimi.

Organizatorzy pragną, aby rocznik „Młoda Wieś Pisze" stał się corocznym przeglądem twórczości młodych początkujących poetów, prozaików, publicystów itp., a jednocześnie literackim dokumentem obecnych przemian społecznych, politycznych, moralnych, kulturowych, zachodzących w kraju, a w szczególności na wsi polskiej.

Do wydania rocznika „Młoda Wieś Pisze" został powołany Komitet Redakcyjny w składzie: Stefan Dybowski, Jan Maria Gisges, Bronisław Gołębiowski, Jan Zygmunt Jakubowski, Włodzimierz Łowicki, Wiesław Myśliwski, Antoni Olcha i Stanisław Piętak.

Prace należy nadsyłać do dnia 30. IX. 1962 r. na adres: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, Al. Jerozolimskie 30, z zaznaczeniem na przesyłce „Młoda Wieś Pisze". Do nadesłanych prac powinny być dołączone krótkie notki biograficzne autorów, z podaniem między innymi, następujących niezbędnych informacji: data i miejsce urodzenia, wykształcenie, zawód, miejsce pracy i zamieszkania.

Prace zamieszczone w roczniku będą honorowane według stawek prawa autorskiego.

Maszynopisy i rękopisy nie wykorzystane w roczniku „Młoda Wieś Pisze" nie będą zwracane autorom.

— 61 —

CAMER — THE CAMEL

In some parts of the world there are no trees and there is no water. Travellers must take food and water with them. The only animal who can walk with them is the camel. He can go without food and water for a long time because his stomach holds water and food in twelve deep pockets.

The camel is very big. He has one or two humps on his back. The camel's humps hold fat. He has short ears and a long tail. People call the camel THE SHIP OF THE DESERT.

The horse carries the man, the cow gives him milk, and the sheep gives him wool. But to the people of the deserts the camel is the horse, the cow and the sheep, all in one.

Once some Arabs with their camels went across the desert. In the evening they wanted to rest. The camels were tired too.

— 61 —

DAS HERZ

Das Herz kennt keine Ruhe. Es arbeitet bei Tag und Nacht, immer im gleichen Takt.

Bei einem gesunden Menschen schlägt das Herz siebzig bis achtzigmal in der Minute. Bei einem Pferd nur vierzig; bei einem Elephanten fünfundzwanzig bis achtundzwanzig.

Den „Rekord" hält aber die Maus. Ihr Herz ist ein Schnellläufer. Es schlägt siebenhundertmal in der Minute.

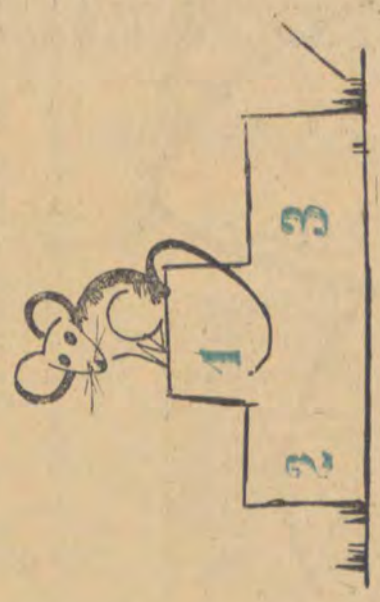

— 64 —

HE HAS EATEN IT

My little son wanted to have an orange.
— How many are there on the table? — asked my wife.
He counted them and said:
— Just three.
— Very well. There is one for Father, one for me and one for you. You can have one.
He ate it and wanted another. My wife asked:
— How many are left?
He answered:
— Just two. One for Father and one for me.
— But where is mine? — asked my wife.
My little son answered:
— I have eaten it.

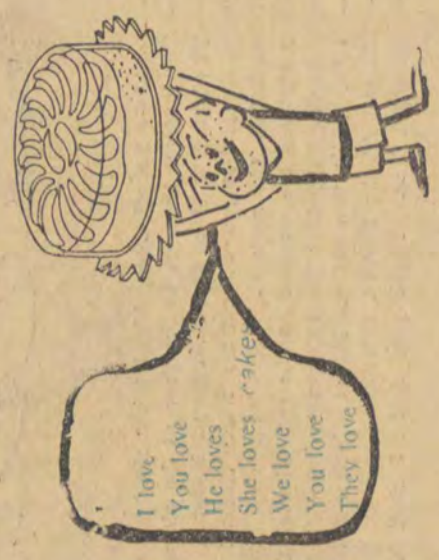

— 64 —

DAS SKELETT

Viele Besucher waren im Museum. Sie gingen durch die Säle. In einem stand ein grosses Skelett eines Mammuts.

Die Besucher fragten:
— Wie alt ist dieses Skelett?
Der Museumsdiener antwortete:

— Das kann ich Ihnen genau sagen. Dieses Skelett ist zwanzig Millionen Jahre, zehn Monate, drei Wochen und sechs Tage alt.

Die Besucher sagten:
— Das ist sehr interessant. Aber woher wissen Sie es so genau?

Der Museumsdiener antwortete:
— Das kann ich Ihnen genau sagen. Ich arbeite in diesem Museum zehn Monate, drei Wochen und sechs Tage. Am ersten Tag sagte der Museumsdirektor zu mir: „Herr Schmidt, vergessen Sie nicht, dass dieses Skelett zwanzig Millionen Jahre alt ist". Ich habe es nicht vergessen. Also heute ist das Skelett zwanzig Millionen Jahre, zehn Monate, drei Wochen und sechs Tage alt.

Magdalena o rannej godzinie

TADEUSZ PAPIER

4

Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny" przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Niektórzy goście weselni, zwłaszcza kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie doczekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.

Magda początkowo odmawia, ale kiedy ciotka przynosi wiadomość, że rozmawiała z Geografem i że Geograf wzywa dziewczęta do siebie, zgodziła się na to spotkanie. Niestety, i ta randka nie przynosi naszym bohaterkom zadowolenia.

„Wolimy prozę" — odparła Mariola. „Zgoda. Więc jak? Kiedy się spotkamy?" — zasypali nas pytaniami. „Nie wiem — odparła Mariola. — Mamy w tych dniach wiele spraw do załatwienia, prawda Magda?". „Więc zadzwonimy do was". „Niech panowie dzwonią" — rzekłam. Chcieli jeszcze zamówić po koniaku, ale odmówiłyśmy. Jutro miałam być u Geografa, i nie chciałam mieć kaca. Kazek przywołał kelnerkę i rzucił jej pięćset złotych. Wyszedł potem z Tośkiem na chwilę do toalety, a kelnerka przyniosła resztę. Nie wiem, proszę pana, dlaczego tak postąpiłam, ale najspokojniej w świecie wzięłam z tej reszty sto złotych i schowałam do torebki. Mariola ani mrugnęła. Wcale nie chciałam ukraść, po prostu wzięłam, bo byłam zła na nich. No więc widzi pan. Spowiadam się panu ze wszystkiego, jak przed księdzem.

Wróciłyśmy na Chojny około jedenastej. Ciotka już spała. Nasz tapczan był pościelony. Umyłyśmy się w kuchni i poszłyśmy spać. Rano wstałyśmy razem z ciotką. Po śniadaniu powiedziałam do Marioli: „No to pójdziemy już do tej przejściówki". „Jakiej znowu przejściówki? Co to za przejściówka?" — zaniepokoiła się ciotka. Pan wie, co to jest przejściówka? Właśnie, cela. Marioli nie potrzebowałam tego tłumaczyć, ale ciotka załamała ręce. „Bój się Boga, ty się nigdy nie ustatkujesz!" — powiedziała. Niepotrzebnie ją podrażniłam, ale czy nie miałam racji? Odwiedziny u Geografa mogły przypominać pobyt w przejściówce. „Może ciocia da nam po jednym, na odwagę" — poprosiłam ją. Wie pan, o co mi chodziło? Oczywiście, wcale mi nie zależało na wódce, chciałam tylko dodać sobie odwagi. Niech się pan wczuje w moją sytuację. Musiałam wypić i koniec. Ciotka dała nam po jednym, wypiłyśmy wszystkie trzy. Owszem, poczułam natychmiast lekki szumek, zrobiło mi się raźniej, mogłam teraz iść.

Geograf mieszkał na Lipowej. Byłam tu kiedyś w jego mieszkaniu, odnosiłam zeszyty po klasówce. Ale kiedy to było? Przysięgam, że gdyby nie Mariola, to na pewno bym zwiała sprzed samych drzwi. Serce mi waliło i w ogóle czułam się głupio. Mariola spojrzała na mnie i powiedziała: „Wiesz co, Magda? Ty jesteś okropną kretynką". „No zobacz, Mariola, ja tak się nie mogę pokazać" — odparłam. Rzeczywiście ubrałam się jak wariatka. Założyłam trykotową bluzkę i sama się przestraszyłam, kiedy spojrzałam na swoje odbicie w szybie. Wszystko było znać na mnie. Tosiek albo Kazek byliby zadowoleni. Ale Geograf? Pamiętam jak wyzywał w szkole te uczennice, które próbowały się zrobić na kociaka. „Ty masz fryzurę, jak z epoki kamienia łupanego" — mówił. Mariola obejrzała mnie od stóp do głów. „Fajna jesteś, nie potrzebujesz się wstydzić. Idziemy." I zadzwoniła, wariatka.

Dalszy ciąg na str. 10

Some baby camels were among them. Camer was one of the baby camels. She had a thin body, long legs and a funny little tail.

The caravan started on its way across the desert again. But suddenly a deep silence came and the sky grew red. In a moment the Arabs and the camels threw themselves on the sand. They knew that a simoom was near, a very hot wind...

There was no more wind. The camels were already on their feet. The caravan started again, but soon it stopped. One of the camels was crying. It was Camer's mother.

Camer was lying on the sand. She was dead. During the simoom the very hot wind, and the very hot sand killed the poor little camel.

One of the Arabs tried to lead the mother away, but she could not leave her baby in the desert and died near little Camer.

DIE BERGE ANTWORTEN

Die Schule war zu Ende. Die achte Klasse machte einen Ausflug in die Berge. Es war ein schöner Tag. Die Schüler wollten einige Fragen an die Berge stellen. Die Berge antworteten mit einem lauten Echo.

Die Schüler fragten:

— Sag, was wir nie vergessen!

Die Berge antworteten.

— Essen!

— Wer geht gern in die Turnhalle?

— Alle!

— Wieviel Fehler habe ich gemacht?

— Acht!

— Und mein Freund — keinen?

— Einen!

— Was bekommt er vom Vater für seinen Fleiss?

— Eis!

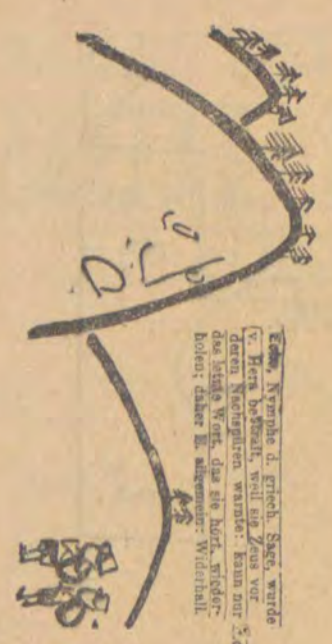

A TELEPHONE CONVERSATION

Mary is reading in her room. The telephone rings. Mary goes and lifts the receiver to her ear:

— Hallo! Mary here... Hallo, Andy! How are you?

— Fine, thank you. How are you?

— I am fine too, thanks.

— Will you come to the cinema with me?

— What is on?

— An American film, but I don't know the name of it. George says it is very good.

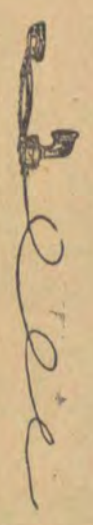

— Certainly I shall come, Andy! When shall we meet?

— At a quarter to seven at the door of the cinema.

— All right, I shall be there. So long... Hallo!

Hallo, Andy! But you did not say which cinema!

Hallo, Hallo... (no answer).

Mary replaces the receiver an the rest. The telephone is ringing again. Mary lifts the receiver to her ear:

— Hallo, Andy! You did not say at which cinema.

— Oh, yes. At the PLAZA CINEMA.

— Oh, that's fine. Thank you, Andy. I shall be there. So long.

Mary replaces the receiver on the rest and gets ready to go out.

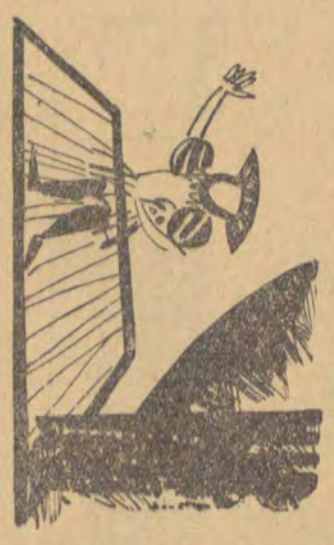

WIEVIEL AKTE?

Ein berühmter Regisseur las den Schauspielerin ein neues Drama vor. Es war sehr heiss im Zimmer. Er zog nach dem ersten Akt den Rock aus, dann las er weiter.

Nach dem zweiten Akt zog er die Weste aus. Nach dem dritten die Schuhe; nach dem vierten die Krawatte.

Plötzlich fragte eine Schauspielerin:

— Verzeihen Sie, Herr Regisseur, wieviel Akte hat noch das Drama?

Dalszy ciąg ze str. 9

Otworzył nam Kostek. Boże kochany, jak wyrósł! Nigdy bym nie przypuszczała, że w ciągu dwóch lat można tak skoczyć do góry. Zastrzelił mnie swoim wyglądem, nie potrzebowałam tego ukrywać. Ale i on mnie z trudem poznał. Może nawet w pierwszej chwili nie wiedział kogo ma przed sobą. Zapytał okropnym basem: „Panie do kogo?" Na śmiech mi się zebrało, kiedy to usłyszałam. O mało nie ryknęłam. Mariola odpowiedziała: „My do pana profesora. Pan profesor już wie". Kostek zaprosił nas do środka. Dopiero teraz się przywitał. Kompletnie zbaraniał, chciał mnie nawet pocałować w rękę. Wpadłam mu w oko, te rzeczy natychmiast się dostrzega. Nie potrzeba dużo zachodu, aby poznać, czy ktoś udaje, czy też nie. Cały czas patrzał na mnie. Niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków. Byłam w tej chwili daleka od wszystkiego, co można nazwać miłością. Może Kostek zadurzył się od pierwszego wejrzenia, ale ja nie. Najadłam się już dość tej strawy. Dlaczego właśnie ja mu wpadłam w oko, a nie Mariola? Na to pytanie nie umiem dać odpowiedzi.

Więc staliśmy we troje jak mumie w pokoju profesora. Mariola zaczęła oglądać mapy. Tych map było zatrzęsienie. Ściany były nimi po prostu wytapetowane. Na biurku stał wielki globus. Kostek gapił się na mnie bez przerwy. W ogóle była dosyć śmieszna sytuacja, bo żadne z nas nie przemówiło ani słowem. No, ale wszedł Geograf i z miejsca przestałam się zajmować Kostkiem. Pan zna Geografa? Właśnie, ten sam, którego pan spotkał ostatnim razem. Bardzo wysoki, a włosy to ma takie gęste, że można by nimi obdzielić dziesięciu łysych. Wyobraża pan sobie, jak wyglądał za młodszych lat, kiedy nie był siwy? W szkole mówiliśmy na niego „Globus", ale to nie było trafne przezwisko. Właśnie z powodu tych włosów. Niektórzy wołali na niego „Lew" i to było celniejsze. Bo i głos miał taki, że kto go nie znał, a pierwszy raz zobaczył i usłyszał, dusza uciekała mu w pięty. Miałam taką koleżankę, która na jego lekcji nie mogła słowa przemówić. Nie muszę więc tłumaczyć, że miałam w tej chwili bardzo kiepskie samopoczucie. Geograf podał nam rękę i powiedział: „Serwus dziewczęta". No, wie pan, on zawsze miał takie zagrania. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nazwał nas kociakami. Albo gdyby odesłał nas do jakiejś epoki przedlodowcowej. Czułam, że mu się w tej bluzce nie spodobałam. Kostek mógł być zachwycony, ale Geograf? Nigdy nie wiadomo, co mu mogło wpaść do głowy i jakimi przezwiskami mógł obrzucić człowieka. Starszy człowiek, około pięćdziesiątki, a może parę lat więcej, ale zagrania miał jak student. Najważniejsze że to u niego nie raziło. Gdyby na przykład dyro chciał go naśladować, nic by z tego nie wyszło. Wszyscy by się śmiali. A u Geografa każde słowo grało.

Usiedliśmy i z przyzwyczajenia sięgnęłam do torebki po papierosy. Mariola nadepnęła mi na nogę. Cofnęłam rękę i strasznie się zaczerwieniłam. Mariola powiedziała, że wyglądałam okropnie. Geograf udał, że nic nie zauważył. To mnie jeszcze bardziej speszyło. Kazał Kostkowi zaparzyć kawę a sam nabił sobie fajkę. Mówię panu, jak zapalił, to aż mi się słabo zrobiło. Tytoń miał jakiś zagraniczny, chiński, czy diabli wiedzą jaki. Faktem jest, że siedziałyśmy z Mariolą jak zaczadzone. Kostek przyniósł kawę, ale nie piłam, byłam strasznie zdenerwowana. Nie mogłam sobie darować, że tu przyszłam. Ręce miałam jak z drewna. Co tu dużo gadać!

Ale Mariola szybciej się opanowała. „No więc postanowiliśmy się uczyć" — powiedział Geograf. „Tak jest panie profesorze" — odparła Mariola. „Nie zapomnieliśmy zbyt wiele?" „Okaże się, panie profesorze" Mariola szybko znalazła wspólny język z Geografem. Spodobała się Geografowi, to jasne. Pomyślałam sobie, że Mariola ma cholerne szczęście do ludzi. Zawsze wyląduje cało. Nawet w sądzie i w więzieniu zrobiła dobre wrażenie. Jednak trzeba mieć charakter. Ale najgorsze że Mariola mówiła z Geografem tylko o mnie i za mnie. Geograf pykał fajkę i pomrukiwał, kiedy ta idiotka trajkotała. Niech pan się nie dziwi, że nazywam ją idiotką. Zasłużyła na to. W ogóle zachowywała się, jakbym była jej córką. Byłam oburzona jej zachowaniem. Byłyśmy nieraz w różnych opałach, ale nigdy nic podobnego mi się nie zdarzyło. Mariola przeszła sama siebie. I niech pan pozwoli, abym nie streszczała tej rozmowy, którą prowadzili Geograf i Mariola. To jest ponad moje siły. „Więc chcesz się uczyć?" — zapytał mnie w końcu Geograf. „Oczywiście, że chce" — odpowiedziała natychmiast Mariola. Geograf podniósł się z krzesła i przeszedł się kilka razy po pokoju. Nagle spojrzał na Kostka i zawołał: „A ty co znowu? Co tak wybałuszasz gały? Nie widziałeś dziewczyny w życiu? Chciałbyś zostać Rinaldem tej Armidy?" Mówię panu, zrobiło mi się bardzo głupio. Nie wiedziałam kim był Rinaldo i owa Armida, ale było jasne, że chodziło o mnie i o Kostka. Dziękuję za kompliment, wcale nie miałam zamiaru kołysać Kostka w swoich ramionach. Kostek zmieszał się jeszcze bardziej niż ja. Geograf uderzył go kilka razy fajką po głowie i powiedział: „Idź no Kostek z tymi pannami na balkon, porajcujcie trochę, ja tymczasem zadzwonię tu i tam".

Opuściłam pokój z prawdziwą ulgą. Na balkonie odetchnęłam. Rany Boga, jak ja się wymęczyłam. Nigdy w życiu nie dam się nabrać na podobny interes. Spociłam się niemożliwie. Chętnie bym dała nura z tego domu, ale Geograf mieszkał na trzecim piętrze i skok z balkonu byłby nieco ryzykowny. Mariola uderzyła mnie w plecy i powiedziała: „Fajno jest, Magda, już my z profesorem nie damy ci zginąć". „Dziękuję za protegę" — odparłam ze złością. „Panno Magdo, ojciec z pewnością załatwi pani wszystko" — wtrącił się Kostek. „Cóż ty Kostek, dlaczego nie mówisz jej po imieniu?" — zapytała Mariola. Ależ miała minę w tej chwili. Bezczelny typ z tej Marioli. Żeby pan wiedział, co zrobił Kostek. Pocałował Mariolę w rękę i zwrócił się do mnie: „Dobra jest. Nie przejmuj się Magda". Widzi pan. Całe szczęście, że nie próbował się jeszcze oświadczyć. Skonać można.

Geograf dzwonił i gadał z kimś przez telefon. Co mieliśmy robić? Gapiliśmy się na ulicę. Pan zna Lipową? Ani ładna ani brzydka. Prawdziwie łódzka ulica. Jakże by inaczej brukowana. Och, niech pan zajdzie tam w niedzielę, po południu. Właśnie. Bo widoki są mniej więcej wszędzie jednakowe. Ulica jak ulica i domy jak domy. Ale żeby pan złapał na taśmę odgłosy. Z jednego okna słychać „sto lat", z drugiego radio, z trzeciego harmonia. Nie do powtórzenia. Tak, podoba mi się. A daleko, na tej samej osi widać elektrownię. Z balkonu Geografa widok fantastyczny. Ale nie mnie pan nie naciąga. Nie lubię tego. Dziękuję, nie potrzebuję się wysilać. I wtedy też się nie wysilałam. Co mnie obchodził Kostek. Chciał koniecznie zrobić na tym balkonie zdjęcie. Powiedział, że podpisze: „Babki na balkonie u Geografa". Głupi kretyn! Zupełnie nie orientował się w sytuacji. Nie, wówczas jeszcze nic nie wiedział o nas. No co, był przekonany, że dwie babki przyszły do ojca po protegę i to wszystko. Odmówiłam stanowczo, chociaż Mariola miała chęć na te zdjęcia. „Za wiele kłopotu" — powiedziałam.

„Kostek! — usłyszeliśmy głos Geografa — przyprowadź tę swoją Armidę!" No, wie pan, byłam wściekła. Jedna mnie przezywa Miłą Jill, druga Armidą. To było za dużo jak na moje nerwy. Nie jestem znowu taka głupia, żeby nie wyczuć drwiny.

D. c. n.

Z cyklu: TV a Twoje dziecko

TELEWIZJA NIE STRASZY!

Obok wielu innych aspektów telewizja ma ogromne znaczenie jako środek dydaktycznego i wychowawczego oddziaływania na odbiorców, a zwłaszcza młodych. Sądzę, że ta właśnie rola telewizji winna znaleźć większe uznanie i pocześniejsze miejsce w programach wizyjnych. Na ogół telewizor w domu uważany jest jako połączenie kina dźwiękowego z teatrem. I trzeba stwierdzić, że jako nowy środek jeszcze się nie „opatrzył" i długo nie będzie używany zamiast środków nasennych.

Każdy chciałby znaleźć w programie to, co go specjalnie interesuje. Stąd trudno program tak skonstruować, by wszystkim dogodził. I długo jeszcze będziemy słyszeli i czytali narzekania, dowcipy i humorystyczne kawały. Myślę jednak, że w całości audycji jest pewien określony cel dydaktyczno-wychowawczy. Są co prawda jeszcze filmy od lat 12—14—16, ale te zastrzeżenia będą zbędne wtedy, kiedy program zostanie już całkowicie podporządkowany celom wychowawczym.

Natomiast drugi rodzaj wizji: a mianowicie przygody pasjonują młodzież, szczególnie tą w krótkich spodenkach. Rolę tę spełniają filmy fabularne i dokumentalne.

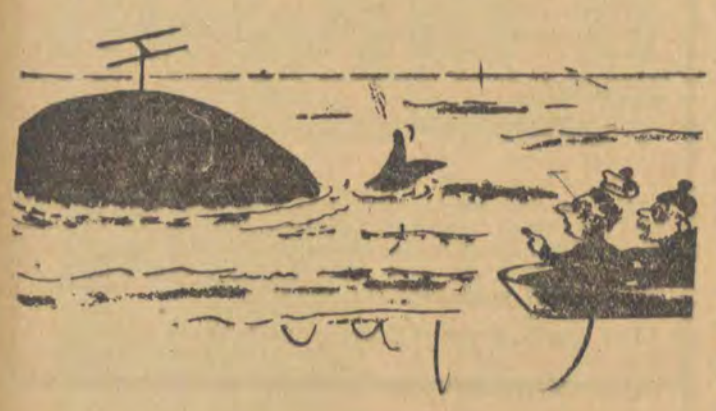

„Znak Zorro" jest wskaźnikiem, jak bardzo młodzież interesuje się niezwykłymi przygodami bohatera. Jestem zdania, że telewizja stworzy kiedyś całe cykle takich filmów i narodzi się w ten sposób dziecięca wersja telewizyjnej „Rodziny Matysiaków". Pozwolę sobie przy tym zauważyć, że nawet w „Znaku Zorro" jest dużo momentów wychowawczych, dodatnich.

Awanturniczość w przygodzie, egzotyka to momenty fascynujące młodzież. Jednak zaspokajanie wyobraźni dzieci takimi filmami, to jeszcze nie wszystko. TV może stworzyć cykl systematycznej wiedzy o innych krajach i ich kulturze, co z powodzeniem mogłoby zastąpić wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, częściowo geografię i nauki przyrodnicze, a częściowo najmłodszą historię. Mamy pretensje do filmu i telewiziji. Są piękne wspomnienia i powieści z walk partyzanckich. Jest dwudziesta rocznica powstania PPR. Dlaczego nie puścić całej serii audycji w oparciu o te pozycje? Osobne zadanie telewizja spełnia jako środek systematycznego nauczania poszczególnych przedmiotów w szkole. Nie wszystkie przedmioty są „wizyjne". Ale na przykład przedmioty takie jak literatura, część historii, geografii, nauk przyrodniczych może być opracowana w systematyczne ciągi telewizyjne. I tutaj należałoby wykorzystać filmy dokumentalne, oświatowe, a także fabularne. Nad tym chyba w przyszłości musimy się zastanowić.

Dlaczego taką piłą jest historia literatury, geografia, biologia? Między innymi dlatego, że są to lekcje werbalne w tematyce i bez akcji. Zawierają tylko pewne oklepane nazwy, daty, osoby, fakty. Na przykład „Stara baśń" w telewizji zrobiłaby większe wrażenie niż wszystkie wykazy obowiązkowej lektury. I jeszcze jedno. Wielką pomoc w przedmiotach humanistycznych mogłaby okazać telewizja zdającym maturę — repetycje, syntezy, poszerzanie wiadomości — to przecież poważna dziedzina, dotąd nie ruszona przez TV.

Nie chciałbym telewizji zamieniać w domowego korepetytora. Ale na odcinku audycji młodzieżowych takie systematyczne cykle i ciągi wiadomości rzeczowych znalazłyby duże zapotrzebowanie.

STANISŁAW LIPKO

Miniaturowa składanka

Nowość telewizyjna: publicystyczna składanka „Miniatury" zyskała już dla siebie na pewno sporą liczbę zwolenników, chociażby dlatego, że jest nową formą programu publicystycznego, i jak każda odmiana budzi zrozumiałą ciekawość, zainteresowanie, a zwłaszcza krytykę. Tej ostatniej nie należy nikomu brać za złe, jako że błędy i wypaczenia są cechą ludzką, więc co dopiero mówić o realizatorach telewizyjnych. Również i „Miniatury" nie zdołają uniknąć solidnej porcji sceptycznych uwag, lecz żeby było nam wszystkim przyjemniej, zacznę właśnie od krytyki, aplauz zostawiając na deser.

„Miniatury" nie posiadają określonej koncepcji — ani tematycznej, ani programowej, ani logicznej, o czym zdążyliśmy się już w dostatecznym stopniu przekonać (oj, Muzo, Muzo! — coś szwankują ci szare komórki, nie tylko przy „Miniaturach"). W ostatnim programie z tego cyklu zobaczyliśmy kilka składanych numerów, dla których nawet przy wielkiej wyobraźni oraz dokładnej znajomości praw semantycznych, trudno byłoby znaleźć wspólny margines tematyczny, czy logiczny. Oczywiście — istnieje ten publicystyczny, ale to za szerokie pojęcie i wymaga też przemyślanych założeń formalnych. Otóż, obejrzeliśmy sobie na początek składanki, świetny zresztą, niezwykle interesujący obyczajowy autentyk o zabobonach na wsi. Aż wierzyć trudno, że podobne wypadki zdarzają się w dwudziestym wieku — Gagarin w kosmosie, a na polskiej wsi — wiejskie czarownice, odczyniające „uroki" Dziurdziowie są wciąż aktualni, głęboko mylą się ci, którzy twierdzą, że Orzeszkowa przeżyła się: Po „urokach" — „Miniatury" przedstawiły maleńką inscenizację: interwencja TV na temat wind — bardzo to słuszne, i ogólnopolskie, w Łodzi też znajdzie się niejedna winda w stanie emerytalnym lub urlopowym. Następnie zobaczyliśmy dowcipną satyrę w stylu kabaretowym o pomysłowych portrecistach — daj pani fotkę, zrobię portret wykapany, w naturalnej wielkości, kolorach pastelowych, za jedyne trzysta złotych (wszystkim zainteresowanym polecam opowiadanie, Radzikowskiego „Na dekielku", ukazało się w zbiorze, „18 opowiadań", temat analogiczny). Wreszcie, na zakończenie audycji: mocno enigmatyczna wymiana zdań pomiędzy jedną panią a jednym panem — pacjentką i lekarzem. Rozmowa prawdopodobnie miała spełnić funkcję wystrzałowej interwencji w sprawie lecznictwa.

Jak widać — „Miniatury" są niezwykle bogate i urozmaicone. Zbyt bogate. Może stąd — niedopracowanie pewnych tematów (nie, nie twierdzę, że wszystkich — windy i portrety były udanymi pozycjami), zbyt wąskie potraktowanie innych, a w sumie — pewien niedosyt telewidza. Brak wniosków, intryga urwana, audycja aż się prosi o ciąg dalszy, jeżeli pragnie zachować swój podstawowy charakter — publicystyczny. A w dotychczasowym wydaniu spełnia rolę informacyjnej notatki prasowej, gubi interwencję, która powinna być spointowana akcentami krytycznymi i zaopatrzona w rzeczowy postulat publicystyczny, oraz — rzecz najważniejsza — w adres, pod który zostaje skierowana. Inaczej — będzie to przelewanie pustego w próżne. Bo jaki, na przykład, morał wyniknął z konfrontacji dwóch antagonistycznych stron: lekarza i pacjentki? Ich wymiana zdań była ogólnikowa, ograniczyła się do nijakich, bo zupełnie niesprecyzowanych pretensji pacjentki oraz do równie nijakich, gdyż pozbawionych wszelkiej argumentacji, zaprzeczeń lekarza. Dowiedzieliśmy się z niej tyle, co było tajemnicą poliszynela na długo przed narodzinami telewizji: — że pacjenci zgłaszają zarzuty, lekarze zaś nie chcą ich uznawać. Zresztą, sam problem przytłoczył rozmiarem „Miniatury" bo i cóż może zdziałać taka mucha przeciwko armacie?, nie mógł więc znaleźć w nich rzeczowego wniosku. To był problem dla Trybuny Telewizyjnej.

Dlatego wniosek Kowalskiego brzmi tak: „Miniatury" nie powinny silić się na konkurencję z Trybuną Telewizyjną, muszą mieścić się w swoim charakterze: drobnych lecz ważkich i potrzebnych społeczeństwu spraw interwencyjnych. Coś w rodzaju radiowej „Muzyki i aktualności". Jeżeli osiągną choć w połowie podobną popularność i rangę — będzie czego gratulować. Na razie zaś, należy przyklasnąć samemu pomysłowi „Miniatur". Oby tylko proporcje i ta główna koncepcja tematyczna zostały przestrzegane. I oby nie zabrakło jej kłującego żądła — wtedy wszyscy będą zadowoleni, również i

KOWALSKI

P.S. Pomyślałem sobie właśnie — że ogromnie przydałoby się ujawnić nasze rodzime, łódzkie „Miniatury". Czy ŁOT nie może włączyć się na antenę ogólnopolską?

ZE ŚWIATA

Tegoroczną „Złotą Różę" na Drugim Międzynarodowym Festiwalu w Montreux, zdobyła jak wiemy Telewizja Szwedzka za program „Cascade". Odtwórczynią głównej roli w tym spektaklu była znakomita pieśniarka Eartha Kitt. Odkryta przed kilku laty przez Orsona Wellesa cieszy się obecnie sławą najpopularniejszej pieśniarki na świecie. Płyty z jej nagraniami rozchodzą się w setkach milionów egzemplarzy, a za występy w telewizji otrzymuje tysiące dolarów. Ostatnio 34-letnia Eartha wystąpiła przed kamerami telewizji brytyjskiej w niecodziennej roli. Otóż czytała ona fragmenty... Biblii, a wybrała kilka rozdziałów ksiąg Daniela (Stary Testament).

Na zdjęciu: Eartha Kitt z mężem.

Nawiązując do toczącej się na naszych łamach dyskusji pt. „Telewizja a twoje dziecko" zacytuję wypowiedź Michaela Westmore reżysera programów telewizyjnych BBC dla dzieci: — „Telewizja nie tyle zniechęca dzieci do posłuszeństwa i konformizmu, co pobudza do działania ich umysły i ciała. Proponuję nowe rozrywki, które w innym przypadku nigdy nie wpadłyby im na myśl". W Polsce przykładem może być zabawa w „Zorro" na reklamówce Spółdzielni „Czystość" w Łodzi.

TELEwizja

NASZ WYWIAD

Z JERZYM ANTCZAKIEM

— Jest Pan kierownikiem Teatru Popularnego. Słowo popularny jest tak oczywiste, że przestaje być zrozumiałe. Czy mógłby je Pan odczytać na nowo w stosunku do telewizyjnego teatru?

— Moim ideałem jest stworzyć teatr naprawdę masowy, teatr dla wszystkich telewidzów. A muszę przyznać, że jest ich niemało, gdyż prawie 4 miliony. Nie chodzi mi więc ani o teatr igraszek intelektualnych, ani też o prezentowanie w telewizji antologii dramatu, lecz o teatr wielkich wzruszeń i wielkich emocji, o teatr uśmiechu i łez. Teatr taki powinien nieść ze sobą najwyższe wartości humanistyczne, najbardziej uniwersalne wartości moralne.

— Do czego mógłby Pan przyrównać przygotowanie spektaklu telewizyjnego?

— Chyba do wypuszczenia sputnika na orbitę. Wszystko bowiem jest wyliczone, dokładnie wymierzone, sumiennie wyreżyserowane i zsynchronizowane, tylko efekt pozostaje do ostatniej chwili wielką niewiadomą tajemnicą. Poza tym samo napięcie towarzyszące podczas wykonywania audycji telewizyjnej jest tak olbrzymie, że jak obliczyli lekarze amerykańscy np. dwie godziny pracy kamerzysty równają się 8 godzinom pracy górnika na przodku. Napięcie to równa się wysiłkowi chirurga.

— Jakie cechy powinien więc według Pana posiadać człowiek telewizji? Chirurga, górnika czy pogromcy zwierząt?

— Sądzę, że przede wszystkim tego ostatniego. Powinien się bać jak pogromca, lecz tak jak pogromcy nie wolno mu tego okazywać.

— A kto to jest ten niebezpieczny przeciwnik?

— Złośliwość przedmiotów martwych. Szczególnie, że przedmioty te są dość przestarzałe. Nic chyba w dzisiejszej dobie tak się nie starzeje jak urządzenia telewizyjne. I osobiście przekonany jestem, że telewizja nasza działa tylko dzięki temu, iż dysponujemy świetną kadrą inżynierów i techników. Proszę sobie wyobrazić, że np. lampa ortikonowa, której „życie" obliczone jest na 300 godzin żyje u nas przez godzin 1000. Słowem można powiedzieć, że telewizja nasza znajduje się w swej epoce romantycznej. Ma to oczywiście i swoją dobrą stronę, gdyż często spełniają się najgorętsze marzenia ludzi występujących w telewizji.

— Ciekawe co to za marzenia?

— Aby się coś zepsuło.

— Znaczy to, że telewizja jest sztuką dla ludzi o mocnych nerwach. Czy tak?

— Jak najbardziej. Wydaje mi się, że jest to w ogóle męska zabawa. Zdarza się, że aktor dobry w teatrze w telewizji wypada bardzo słabo. Zabija go zwielokrotniona trema. Nie każdy jest bowiem zdolny przekroczyć barierę techniki. Trzeba mieć na to mocne nerwy i dużą wiarę w zespół, w ludzi, którzy obsługują skomplikowane urządzenia.

— Z tego co Pan mówi, odnoszę wrażenie, że telewizja jest zabawą, o której możliwościach i następstwach nie bardzo jeszcze zdajemy sobie sprawę. Czy to nie jest czasem zabawa w „czarnego luda?"

— No cóż, ja jestem wielkim entuzjastą telewizji i nie chcę być rozumiany na zasadzie tej matki, która najbardziej chwali swego syna, ale muszę stwierdzić, że jestem głęboko przekonany, iż poziom naszej telewizji jest na pewno o wiele wyższy od poziomu opinii i ocen obiegowych, jakie krążą o naszej telewizji. Owszem, idealnie nie jest, zdarzają się tu i ówdzie niewypały, jest także dużo sztampy i sporo chałtury, ale na przykład ogólna średnia widowisk telewizyjnych jest na wysokim poziomie w porównaniu z telewizjami innych krajów. Recenzenci telewizyjni, których skądinąd cenię i doceniam, piszą niestety najczęściej recenzje nie z naszych spektakli, ale ze swoich własnych, bardzo subiektywnych, częstokroć mało wnikliwe i zdawkowe. Nie podkreślają roli warsztatu telewizyjnego, w który my chyba najwięcej wkładamy wysiłku.

— A jaka w ogóle powinna być telewizja?

— Taka, która działa jak cjankali: szybko, sprawnie i skutecznie.

Rozmawiał
KAROL BADZIAK

Mister „Batory" i „Wilki w nocy"

To dwie audycje ostatniego tygodnia, które zasługują na wyróżnienie. Pierwsza jako znakomity reportaż telewizyjny, druga — jako przykład niepotrzebnego spektaklu teatralnego. Zachowując chronologię — na początek o poniedziałkowym Teatrze TV. Łodzianie oglądali go chociażby ze względu na sympatię do Jerzego Antczaka, który reżyserował spektakl (w drodze wymiany z Warszawą — najbliższy Teatr Popularny reżyserować będzie Maryna Broniewska). Jednak Jerzy Antczak miał pecha. Sztuka Tadeusza Rittnera „Wilki w nocy" pomimo odświeżenia, zrobiła wrażenie wyciągniętej z lamusa. Nie jest to zresztą najlepszy utwór tego dwujęzycznego pisarza (pisał w języku polskim i niemieckim, mieszkał w Wiedniu), pochodzi też z jego późnego okresu twórczości (1914). Wszelkie cechy satyry, które, prawdopodobnie w tamtym okresie, były ostre i bezwzględne — dzisiaj wydały się żałosne i naiwne, a sam problem — zwietrzały i melodramatyczny. Tak, że mimo wysiłków reżysera, otrzymaliśmy w sumie dość kiepski, z pseudointelektualnymi refleksjami — melodramat. Duży zawód sprawiła Z. Mrozowska w roli żony prokuratora. Również E. Fetting w roli Morwicza był sztuczny i zbyt serio potraktował swoje wcielenie. Natomiast Jadwiga Barańska jako Żaneta, potwierdziła swoje duże możliwości aktorskie (Karla w „Kongresie we Florencji"). Dobry był również M. Dmochowski.

„Dzień dobry, mister „Batory" — reportaż z przyjazdu do kraju MS „Batorego" był wielką rewelacją. Podobnie dobrej pozycji dawno nie oglądaliśmy na małym ekranie — prawdziwy majstersztyk. Reportaż składał się z dwóch części — na pierwszą złożyły się autentyczne listy Polaków z Ameryki, pisane do rodzin w kraju, do których kamera „na żywo" dorabiała obraz, podkładając twarze oczekujących w porcie rodzin. Druga część reportażu — to rozmowy przyjeżdżających na „Batorym". Kamera ukazywała, konfrontując jednocześnie zachowanie pasażerów i reakcję oczekujących na nich w hallu rodzin. W ten sposób, telewidzowie, dowiadywali się wcześniej o aktualnych planach przybyłego niż jego rodzina. Świetna realizacja Jerzego Gruzy, sprawni narratorzy — Marzyński i Pach. I, oczywiście, doskonały pomysł Mariana Marzyńskiego, autora scenariusza, wykazały, że TV — to wielka przyszłość dla reportażu.

ACH, TE BABY

Przez dwa dni, niezrażeni upałem obradowali związkowcy — włókniarze. 220 delegatów reprezentowało pół miliona włókniarzy. Wśród delegatów było wiele kobiet. Starannie uczesane (widać, że były u fryzjera właśnie z okazji konferencji), starannie ubrane i starannie przygotowane — „namieszały" w dyskusji. Z pasją, że aż przyjemnie było słuchać, z prawdziwym przejęciem przedstawiały wysokiemu Plenum Zarządu Głównego Związku Zawodowego Włókniarzy, sprawy swoich rejonów, zakładów i związkowców, którzy je wybrali. Nie zadowalały ich ogólniki. W odpowiedziach przedstawicieli resortu przemysłu lekkiego, domagały się konkretów. Przypominały nawet ministrowi Stawińskiemu, że już dwa lata temu z tej samej trybuny w sali posiedzeń Prezydium Rady Narodowej, mówił o konieczności regulacji płac w przemyśle odzieżowym. Podczas kiedy średnia płaca w „bawełnie" wynosi 1562 zł, w przemyśle wełnianym — 1588 zł, jedwabnym — 1631 zł, odzieżowcy zarabiają średnio 1374 zł. Przewodniczący Komitetu Pracy i Płacy A. Burski, oświadczył z całą odpowiedzialnością, że najpóźniej w ciągu tej pięciolatki sprawa zostanie rozwiązana.

Jedna z delegatek „walczyła" o rozwiązanie problemu zwolnień kobiet. W małenkim zakładzie sieci rybackich w Darłowie, w związku ze zmniejszeniem zapotrzebowania na sieci bawełniane trzeba było zwolnić 32 kobiety. Ponieważ w Darłowie ciężko ze znalezieniem dla nich pracy ministerstwo obiecało, że zajmie się tym konkretnym wypadkiem.

W czasie wystąpień delegatek, wszystkie osoby siedzące w prezydium pilnie notowały ich głosy, a „babki" jak się dostały na mównicę „wygarniały" wszystkie bolączki i bez pardonu pytały: „czy to się da załatwić, czy nie???

Dlaczego dla robotników Dolnego Śląska przychodzą skierowania na wczasy w rejonie Dolnego Śląska? Dlaczego muszą oni jeździć na urlop 15—20 km od stałego miejsca zamieszkania do miejscowości, które i tak dobrze znają? Dlaczego sanatoria łatwo otrzymać w styczniu, lutym, a tak ciężko w miesiącach letnich? Dlaczego trzeba walczyć z administracją zakładów pracy, która chce wykonać plan „nadgodzinami"? Kiedy do diabła będą te saturatory w przędzalni? — buntują się kobiety. — Dlaczego na lato nie możemy dostać lżejszych fartuchów? Czy to jest taki problem — panie ministrze? To „dlaczego" powtarzało się wiele razy... „Baby, ach te baby — " jak mówi piosenka, dzielnie się spisały...

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Foto: A. Kobylinski

04

04 czyli Dział Naprawy Telefonów Miejscowych odbiera około 200 reklamacji dziennie. Z tego niekiedy zaledwie 50 proc. stanowią rzeczywiste uszkodzenia aparatu bądź sieci. Wcale nie wyjątkowy to wypadek że monter naglony przez abonenta z miasta, co do tego, że telefon u niego w domu nie odpowiada, idzie i zastaje słuchawkę leżącą na biurku w odległości metra od widełek.

Najczęstszymi awariami telefonicznymi są tzw. blokady. Trzech ludzi centrali pracuje bez przerwy, usuwając skutki roztargnienia łodzian. Przyczyną unieruchomienia aparatu bywa często tzw. zawilżenie czyli mówiąc po prostu zaplucie mikrofonu, następnie potłuczenie tzw. pierścieni słuchawki, a także łamanie krążków tarczy. Ani UTM ani my nie wiemy, czy to ostatnie kłaść na karb pośpiechu czy też temperamentu łodzian.

Średnia miesięczna reklamacji, podana na wstępie jest norma dla przeciętnych warunków atmosferycznych. W okresie ostatnich opadów liczba rzeczywistych uszkodzeń sięgała 900 dziennie. Wzmożenie ilości i częstotliwości uszkodzeń powodują wszelkie remonty, malowania, przebudowy dróg itp.

Z taką ilością uszkodzeń UTM, cierpiący na szczególną „płynność kadr" (młodzi ludzie przyuczają się w krótkim czasie na monterów, po czym uciekają tam, gdzie lepiej płacą) nie może sobie poradzić. Stąd najczęstszym głosem jaki słyszą pracownicy Działu Naprawy łącznie z dyrektorem UTM, jest arcypolskie zawołanie: „Pan nie wiesz kto ja jestem?"

KOLEKCJA

Istnieje w Łodzi wielce oryginalny zbiór. Można go określić jako zbiór uniwersalny o profilu numizmatycznym. Składają się nań alfabetycznie: blaszki duraluminiowe, blaszki ołowiane, blaszane znaki firmowe, gwoździe, guziki, kawałki grzebieni, koniki od kartotek, numerki od szatni, plomby ołowiane, stalówki, spinacze, żabki obuwnicze, zapałki (pojedyncze), żetony z barów mlecznych, żyletki, no i monety przeważnie fenigi. Wszystko to w ilości kilkudziesięciu kilogramów rocznie stanowi żniwo oszczędności łodzian, którzy, skąpiąc 50-groszówek usiłują własnym a nie obiegowo-monetarnym systemem wprawiać w ruch tak zwane wrzutowe automaty telefoniczne.

Rezultat wiadomy: rzadko który automat wolnostojący jest czynny, możesz umrzeć na zawał serca a nie zadzwonisz z ulicy po pogotowie. Rezultat mniej wiadomy: cztery ekipy naprawcze krążą codziennie po mieście, ażeby co drugi dzień naprawić jeden automat, wyjmując zeń wkład obywatelski do rzeczonej kolekcji.

Jest nadto kolekcja a rebours, znajdująca się nie w rękach UTM, ale wprost przeciwnie, „po ludziach": ponad 100 słuchawek odcinanych bądź wyrywanych z automatów w ciągu roku. Każda słuchawka kosztuje 143 zł. Zadanie domowe na wakacje: ile straciła własność społeczna na kolekcjonerstwie naszych współobywateli od czasu postawienia w mieście Łodzi 200 automatów wrzutowych?

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-70 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.— kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 1863 VI.62 A 6

MILIONA NIE BĘDZIE

Mieszkaniec Łodzi, pan Feliks B. w kwietniu 1958 r. pożyczył 10 tysięcy złotych od swojej znajomej — Karoliny A.

Gotówka widać przyniosła mu szczęście, bo wkrótce potem wygrał 310 tysięcy złotych w Toto-lotka. Jednak pożyczonych pieniędzy nie zwrócił.

Po upływie dwóch lat pani Karolina wniosła sprawę do sądu. Z powództwa cywilnego uzyskała zwrot sumy. Ponad to w sprawie karnej sąd obciążył dłużnika karą 9 miesięcy więzienia i 3 tysiącami zł grzywny z zamianą na 60 dni aresztu.

Kiedy Feliks B. pojawił się znowu na wolności, komornik wszczął starania o odebranie mu sumy pożyczonej i grzywny. W mieszkaniu Feliksa było ubogo i pusto, zdołano zająć tylko starą szafę, radio „Poemat" i jedyną rzecz większej wartości — pralkę elektryczną. To wszystko dawało zabezpieczenie zaledwie na sumę 3.7 tys. złotych. Zatem komornik dokonał rewizji osobistej i znalazł w portfelu pana Feliksa książeczkę PKO z kwotą... 8.09 zł.

Rewizja miała miejsce 14 czerwca bieżącego roku. Pod datą 30.6.1959, która rozpoczynała tę książeczkę, figurowało jeszcze dokładnie 102.868.92 zł. Dało się stwierdzić, że poczynając od tej daty, kwota każdorazowo zmniejszała się o 7 tysięcy. Pan Feliks jest człowiekiem spokojnym, forsy bynajmniej nie przepijał. Przeznaczał ją regularnie na granie w Toto-lotka najdroższym systemem, postanowił sobie wygrać milion. Systematycznego hazardu nie przerywał nawet, siedząc w więzieniu.

Niestety, „nie zawsze świętego Jana" — jak mówi przysłowie. Miliona nie ma, pozostał nie spłacony dług i prawdopodobieństwo podobnego trafienia za kratki, drogą zamiany grzywny na areszt.

ODGŁOSY tygodnia

GRYPA CZY BUSINOZA?

Włókniarze cierpią na chorobę zawodową, której istnienia wielu z nich nawet nie podejrzewa. Jest to tzw. businoza, czyli pylica bawełniana. Polega ona na stałym uczuleniu na składniki bawełny.

Lekarze — naukowcy i praktycy sklasyfikowali objawy choroby. Najczęściej objawia się ona tzw. gorączką poniedziałkową i kaszlem w nocy z poniedziałku na wtorek. Dlaczego właśnie akurat w tych dniach? Otóż dlatego, że organizm podczas niedzielnej przerwy w pracy odzwyczaja się nieco od działania bawełny i potem następuje wzmożona reakcja.

Jednak choroba nie kończy się na tych „delikatnych" objawach. W konsekwencji może ona prowadzić do dychawicy, rozedmy płuc, niewydolności oddechowej i krążeniowej. Stanem najcięższym jest zespół kliniczny zwany przewlekłym sercem płucnym. Niestety, nie bez przyczyny notujemy w Łodzi największą ilość zgonów właśnie na choroby układu krążenia.

Ci lekarze, którzy są mało obyci z businozą, rozpoznają ją jako grypę. Kierownik Katedry Patologii Wojskowej Akademii Medycznej — doc. dr Ryszard Fidelski, zapytany przez nas, jak często występuje businoza, odpowiedział: We wszystkich pozostałych województwach w okresach miedzyepidemicznych notuje się 15—30 przypadków grypy, natomiast w Łodzi — 2 do 3 tysięcy". Oczywiście, pod ową „grypą" musi kryć się businoza.

Ten przykład stanowi poważne ostrzeżenie.

ROTSZYLDOWIE

W hangarach Stanicy Wodnej PTT-K w Płocku spotkaliśmy trzy kajaki będące własnością Oddziału Łódzkiego PTT-K. Od siedmiu lat właściciel nie okazuje dla nich najmniejszego zainteresowania, mimo iż wielokrotnie był w tej sprawie i to pisemnie monitowany. Możemy zgadzić przyczyny tego desinteressment. Otóż skądinąd wiadomo nam, że inwentarz kajakowy Oddziału Łódzkiego PTT-K liczy w ogóle sztuk trzy. Ot Rotszyldowie. Co tam dla nich zagubione w Płocku jeszcze trzy sztuki.

ZŁAMAŁ SIĘ...

W każdej szanującej się placówce naukowo-badawczej jest co najmniej kilkanaście cennych aparatów precyzyjnych, które trzeba konserwować. W Instytucie Przemysłu Skórzanego obliczono, że wystarczy, jeżeli konserwator poświęci trzy — cztery godziny tygodniowo na ten cel. Zatrudniono więc konserwatora na tzw. prace zlecone, co w sumie kosztowało około 6 tys. złotych rocznie. Okazało się jednak, że dyrekcja postępowała nieprzepisowo i spotkała ją za to nagana. Nie wolno bowiem zawierać np. półrocznych umów na prace zlecone, tylko jednorazowe. Jednorazowe w wypadku konserwacji aparatów nie bardzo się konserwatorowi opłacają i nie można znaleźć takiego, który co tydzień zechciałby zawierać kolejną umowę. Zgodnie z przepisami wolno jednak zatrudnić na pełny etat konserwatora. Nic to, że będzie on wykorzystywany tylko w 10%, nic to, że teraz jego usługi będą kosztowały Instytut ok. 30 tys. zł rocznie... Przepisom stanie się zadość, logice — „wbrew"...

Instytut zatrudnił już konserwatora. Złamał się pod przepisem.

AMERYKA NA SIENKIEWICZA

Nawet się nie obejrzeliśmy, kiedy Łódź dorobiła się pierwszego kina na sposób amerykański, gdzie film można oglądać, nie schodząc z własnego pojazdu. Mowa tu o kinie letnim „Tatry", które obok ławek dysponuje także na widowni wolnym miejscem do zaparkowania motocykla.

Oczywiście, subtelna różnica kryje się w słowach: „schodząc" i „wychodząc", w Stanach Zjednoczonych aktualne jest to drugie, bo tam ogląda się film, nie wychodząc z samochodów. Można jednak powiedzieć, że w rzeczywistości różnica sprowadza się do przedrostków, jest więc bez znaczenia.

A raczej byłaby, gdyby nie jeszcze jedno małe „ale". Otóż po seansie motocykle razem z publicznością pieszą wydostają się przez wąską bramę, kopcąc niemiłosiernie, co wcale nie jest przyjemne.

Nie pisalibyśmy o tym gdyby rzecz nie miała charakteru symbolicznego. Bo czyż najczęściej w różnych dziedzinach nie bywa u nas podobnie z tym „przeszczepianiem doświadczeń"?